

10 Tak się wykuwał
polski kapitalizm

22 Czego nie warto zdradzać
w strategii podatkowej

36 Precyzyjna rewolucja
w sektorze rolnym

fpg24.pl

Nr 2 (45) 2024

ISSN 2719-6291

FORUM

POLSKIEJ GOSPODARKI

MIESIĘCZNIK BEZPŁATNY

nakład: 16 185 egz.

Co nam dała ustawa Wilczka

Z okazji 35-lecia uchwalenia ustawy Wilczka warto przypomnieć, że to ona w ogromnej mierze uwolniła potencjał przedsiębiorczy Polaków, dzięki czemu stała się symbolem naszego cudu gospodarczego.

04

Felietony:

Gniadek SVD

Palutkiewicz

Warzecha

46 Miejsce dla Polski w G20
na wyciągnięcie ręki?

32 Edyta Kalińska:

Jak zamknąć księgi pod kątem rachunkowym



Europejski przyczajony tygrys, ukryty smok?

Tytuł edytorialu to oczywiście nawiązanie do niezwykle popularnego chińskiego filmu z roku 2000, ale nie tylko. Otóż pod koniec stycznia miałem przyjemność wziąć udział w wykładzie, jaki w Sali Senatu Pałacu Kazimierzowskiego dla członków i sympatyków Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Warszawskiego wygłosił Andrzej Sadowski – prezydent Centrum im. Adama Smitha. Tytuł tego wykładu brzmiał „Z czego jutro...? Polska – europejski przyczajony tygrys, ukryty smok”. Jak podkreślił sam autor, była to prelekcja „o wykorzystaniu wiedzy w polityce, aby wyjść z sytemu o sprawności silnika parowego na bardziej aktualny model”.

Osoba Andrzeja Sadowskiego i jego niezmiennie od lat poglądy na gospodarkę znane są nie tylko mnie, więc ci, którzy w wykładzie uczestniczyli, w zasadzie wiedzieli jeszcze przed jego rozpoczęciem, czego mogą się spodziewać. I choć zaskoczenia nie było, to trzeba przyznać, że nigdy dość oczywistości na temat tego, co sprawia, że jedne kraje się rozwijają i bogacą, a inne pogrążają w marazmie i wszechogarniającej korupcji. Kluczem do rozwiązania tego dylematu jest oczywiście odpowiednie podejście do tego, co nazywamy umownie gospodarką, oraz dobre, stabilne prawo. Warto przypominać o tym wszystkim wszędzie i na każdy możliwy sposób. Również ludziom nauki, jak miało to miejsce właśnie w Pałacu Kazimierzowskim UW.

Wiele cennych przykładów, analiz, wyników badań i cytatów przedstawił podczas wykładu prezydent Centrum im. Adama Smitha, mnie jednak najbardziej w głowie utkwiło przypomnienie postaci niezującego już Krzysztofa Dzierżawskiego, który w latach 80., 90. i na początku XXI wieku nieustająco podkreślał, że błędne przekonanie, jakie panuje we współczesnej makroekonomii, że gospodarka jest mecha-

nizmem, którym da się łatwo sterować, o ile posiada się odpowiednią wiedzę teoretyczną o podstawach jego funkcjonowania, jest nie tylko z gruntu fałszywe, ale prowadzi wprost na manowce. I wiele państw – łącznie z Polską – doświadcza tego od lat. W istocie – jak słusznie podkreślał Dzierżawski – gospodarka jest organizmem, a nie mechanizmem. Jest fenomenem społecznym, a więc organicznym, a nie fizycznym. Ma strukturę bardziej przypominającą mrowisko niż pociąg. Na ten fantastyczny twór składają się żywiołowe i spontaniczne zachowania jednostek. Mrowiskiem, w przeciwieństwie do pociągu, nie da się sterować. Nie da się go też zaplanować. Kto tego nie rozumie, nie powinien żadną miarą zabierać się za rządzenie.

Tezę tę można by nazwać pewnym podsumowaniem tego, o czym mówił szanowny prelegent. A że przy okazji Andrzej Sadowski wciąż jest człowiekiem pełnym optymizmu, zaznaczył, że Polska ma największy potencjał i największe możliwości spośród wszystkich państw europejskich, by stać się „gospodarczym tygrysem i biznesowym smokiem” tej części świata. Życzę tego z całego serca zarówno sobie, panu Andrzejowi, jak i wszystkim, którym na sercu leży dobro naszego kraju.

Na koniec zauważę jeszcze, że prelekcja zbiegła się w czasie z 35-leciem uchwalenia ustawy Wilczka, o której w tym numerze „Forum Polskiej Gospodarki” rozmawiamy z Arturem Szczepkiem – prezesem Instytutu im. Romana Rybarskiego. Ustawa Wilczka będąca symbolem polskiej transformacji i cudu gospodarczego niech będzie dla wszystkich przykładem tego, jak wiele dobrego może zdziałać jeden nieskomplikowany akt prawny w maksymalnym stopniu promujący wolność gospodarczą i stający się najskuteczniejszym impulsem pobudzającym polską przedsiębiorczość.



04 WYWIAD NUMERU

SYMBOL POLSKIEGO CUDU GOSPODARCZEGO

Jaki jest powód świętowania 35-lecia uchwalenia ustawy Wilczka, opowiada Artur Szczepiek – prezes Instytutu im. Romana Rybarskiego.

18 BIZNES

CZEGO OBAWIA SIĘ POLSKI PRZEDSIĘBIORCA?

Negatywnych doświadczeń związanych z prowadzeniem biznesu było w ostatnich latach bez liku, ale czy stały się one źródłem wiedzy na temat tego, co najbardziej boli polskich przedsiębiorców?

22 BIZNES

CZEGO NIE WARTO ZDRADZAĆ W STRATEGII PODATKOWEJ

O ochronie tajemnicy przedsiębiorstwa rozmawiamy z Justyną Chylińską, ekspertem od transparentności podatkowej w Thedy & Partners.

24 FINANSE

EUROTRUCIZNA DLA GOSPODARKI

Jak bumerang powraca w przestrzeni medialnej idea wejścia Polski do strefy euro oraz przyjęcia wspólnej waluty. Byłby to ogromny błąd.

30 PODATKI

ZMIANA SPOSOBU ROZLICZEŃ ZE SKARBÓWKĄ

Przedsiębiorca, który w styczniu 2024 r. uzyska pierwszy przychód, a chce zmienić formę rozliczeń z fiskusem, musi o takiej decyzji zawiadomić urząd skarbowy do 20 lutego.

38 ENERGETYKA

CZY SAMORZĄDY UDŹWIGNĄ UNIJĄ DYREKTYWĘ?

Wymuszane przez UE obowiązkowe remonty budynków mogą doprowadzić do katastrofy finansowej nie tylko prywatnych właścicieli domów, ale i coraz bardziej zadłużone samorządy.

40 GOSPODARKA

ZA PATOEKONOMIĘ WŁADZY ZAPŁACĄ PRZEDSIĘBIORCY

O bardzo niebezpiecznym trendzie dotyczącym rozdawania publicznych środków na prawo i lewo rozmawiamy z Krzysztofem Oppenheimem, członkiem Zespołu Roboczego ds. Restrukturyzacji i Upadłości w Radzie Przedsiębiorców przy Rzeczniku MŚP.

50 GEOPOLITYKA

TAJWAŃSKI WĘZEL WCIĄŻ ZACIŚNIĘTY

Dlaczego stawka wyborów prezydenckich i parlamentarnych na dalekim Tajwanie była tak wysoka, że śledził je cały świat?

54 POLSCY GENIUSZE, WYNAŁAZCY I WIZJONERZY

POLAK, KTÓRY DOKONAŁ REWOLUCJI W KOLEJNICTWIE

Wynalazł gazomierz, urządzenie do kopiowania listów i maszynę do kontrolowania rachunków, jednak prawdziwą rewolucję uczynił jego wynalazki związane z kolejnictwem. Oto historia Jana Józefa Baranowskiego.

strona internetowa: www.fpg24.pl



Wydawca:
Forum Polskiej Gospodarki Sp. z o.o.
ul. Srebrna 16 lok. 18
00-810 Warszawa
REGON: 386-226-015
NIP: 527-292-86-29
foto na okładce © Stefan Kraszewski/PAP

Redaktor naczelny: Krzysztof Budka
Zespół redakcyjny:
Robert Azembski, Marcin Chmielowski,
Tomasz Cukiernik, Ewa Konderak,
Renata Krąpiec-Kalita, Jarosław Mańka,
Jacek Podgórski, Konrad Rajca
Korekta: Anna Zakrzewska
Felietoniści: ks. Jacek Gniadek SVD,
Piotr Palutkiewicz (Warsaw Enterprise
Institute), Łukasz Warzecha
Skład i opracowanie graficzne:
Paweł Nowicki

**Dyrektor ds. rozwoju marki,
marketingu i reklamy:**
Jarosław Majewski
Reklama: reklama@fpg24.pl
j.majewski@fpg24.pl
Dystrybucja: dystrybucja@fpg24.pl

Redakcja „Forum Polskiej Gospodarki” nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń

Numer zamknięto 31.01.2024



fot. Centrum im. Adama Smitha

Symbol polskiej transformacji i cudu gospodarczego

- Ustawa Wilczka pozwoliła przejść od gospodarki niedoboru do gospodarki wolnorynkowej i dokonać cudu gospodarczego w Polsce - mówi Artur Szczepek, dyrektor gabinetu w Biurze Rzecznika Małych i Średnich Przedsiębiorców oraz prezes Instytutu im. Romana Rybarskiego.

Rozmawiał **Tomasz CUKIERNIK**

Jaki jest powód świętowania 35-lecia uchwalenia przez parlament Polski Ludowej ustawy Wilczka?

Świętujemy uchwalenie ustawy autorstwa Mieczysława Wilczka dlatego, że jest ona dla nas symbolem polskiej transformacji gospodarczej. Weszliśmy na drogę liberalnej gospodarki i wolności gospodarczej za sprawą PRL-owskiego ministra Wilczka. Pan Mieczysław Wilczek był doradcą premiera Mieczysława Rakowskiego i na tym stanowisku stał się rzecznikiem gruntownej reformy polskiej gospodarki. Zaproponował zamknięcie wie-

To właśnie dzięki ustawie Wilczka Polacy nagle na bardzo dużą skalę zaczęli handlować, zakładać przedsiębiorstwa i zarabiać. Zabezpieczono byt wielu ludzi i zaczęto tworzyć zręby bardzo dobrze funkcjonującej polskiej gospodarki.

lu państwowych zakładów pracy, które uważał za nierentowne z punktu widzenia rachunku ekonomicznego. Rozpoczął w Polsce zmiany prawne mające na celu wprowadzenie zasad gospodarki rynkowej. W 1988 r. przeformował w Sejmie bardzo nowoczesną jak na ówczesną Polskę ustawę nazywaną do dzisiaj ustawą Wilczka. Ten akt prawny spowodował aktywizację drobnych przedsiębiorców jeszcze w ostatnich miesiącach istnienia PRL. Była to ustawa, która funkcjonowała na zasadach „co nie jest zakazane, jest dozwolone” i „pozwól-

cie ludziom działać”. Pozwoliła Polakom przejść od gospodarki niedoboru do gospodarki wolnorynkowej i dokonać cudu gospodarczego w Polsce.

Co wynika z debaty o źródłach polskiego cudu gospodarczego, która miała miejsce podczas konferencji Centrum Adama Smitha i Biura Rzecznika MŚP „Drogi do wolności” w grudniu 2023 r.?

Możemy dojść do konkluzji, że nasze państwo odeszło od ustawy Wilczka. Chociaż Konstytucja Biznesu miała temu zapobiec i być może zawrócić nas w drugą stronę, ale to się nie udało. Konkluzja tej konferencji jest taka, że dzięki dziełu ministra mogliśmy budować polski kapitał gospodarczy, mogliśmy uruchomić siłę polskich przedsiębiorców. A niestety poszczegól-

gólne rządy, w tym także Leszek Balcerowicz, zaczęły odchodzić od tych zasad przyjętych przez Mieczysława Wilczka. Zaczęliśmy regulować coraz więcej przestrzeni polskiej gospodarki. Odeszliśmy z kierunku gospodarki wolnorynkowej i poszliśmy w kierunku efemerydy, którą mamy obecnie.

Dlaczego odeszliśmy od tego modelu i kto jest temu winny?

Winni są polscy politycy, którzy chcą kontrolować jak największą przestrzeń w życiu polskich

obywateli. Przestrzeni gospodarczej również.

Kto otrzymał odznaczenia Rzecznika MŚP zasłużonym dla wolności gospodarczej i przedsiębiorczości?

Minister Adam Abramowicz odznaczył Łukasza Łazarewicza za działania na rzecz polskiej przedsiębiorczości, na rzecz polskiego środowiska MŚP oraz za działalność społeczną. I to nie tyle minister Abramowicz odznaczył, ile pośredniczył w tym wydarzeniu, ponieważ Brązo-

wy Krzyż Zasługi to jest odznaczenie państwowe przyznawane przez prezydenta RP. Prezydent Andrzej Duda odznaczył właśnie tego przedsiębiorcę za jego dokonania. Oczywiście na wniosek rzecznika Adama Abramowicza. Ponadto Centrum im. Adama Smitha oraz córka Mieczysława Wilczka nagrodą imienia Mieczysława Wilczka odznaczyła kilka osób za działalność w obronie wolności gospodarczej, za szerzenie świadomości ekonomicznej wśród Polaków oraz za działalność w obszarze

LAUREACI NAGRODY WILCZKA 2023

Andrzej WALCZAK
Przedsiębiorca,
architekt, fotograf,
współtwórca
Grupy Atlas.

Miłośnik sztuki, założył galerię Atlas Sztuki oraz Fundację Atlas Sztuki mieszczące się przy ulicy Piotrkowskiej w Łodzi. Jego pasją są malarstwo i fotografia. Jego prace fotograficzne wielokrotnie były prezentowane m.in. na wystawach w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Kijowie. Jest także współautorem albumu „Wszechświat księdza Jana Twardowskiego”, wydany w 2002 r., utworzonego wraz z Czesławem Czaplińskim, a także autorem projektu renowacji pałacu Roberta Biedermanna (siedziby firmy Atlas) w 1997 r.

Andrzej LASKOWSKI
Przedsiębiorca,
ekspert Centrum
im. Adama Smitha.

Od wielu lat związany jest z rynkiem budowlanym, ochrony środowiska, odnawialnych źródeł energii, jako członek władz spółek budowlanych, doradca inwestycyjny, a przede wszystkim jako przedsiębiorca. Wydał szereg publikacji z zakresu instrumentów finansowych w budownictwie, systemów dystrybucji materiałów budowlanych, banków hipotecznych i instytucji kredytowych, w tym monografię kredytu hipotecznego i listu zastawnego pt. „Historia i współczesność długoterminowego kredytu hipotecznego w Polsce”.

O. dr Jacek Gniadek SVD
Misjonarz werbista,
doktor teologii
moralnej,
ekspert Centrum
im. Adama Smitha,
felietonista „Forum
Polskiej Gospodarki”.

Przez wiele lat na misjach w Afryce. Od 2016 r. w Warszawie działa w Fundacji Werbistowskie Centrum Migranta Fu Shenfu, Stowarzyszeniu Sinicum im. Michała Boyma SJ, Fundacji AS-BIRO. Jest autorem książki: „Dwaj ludzie z Galicji. Koncepcja osoby ludzkiej według Ludwiga von Misesa i Karola Wojtyły”, „Ekonomia Boża i ludzka. Kazania wolnorynkowe”.

Andrzej SADOWSKI
Założyciel
i prezydent Centrum
im. Adama Smitha.

Jeden z założycieli Zespołu Badań nad Myślą Konserwatywną i Liberalną na Uniwersytecie Warszawskim i Zespołu Studiów Ekonomicznych im. Adama Smitha. Współzałożyciel i członek zarządu Towarzystwa Gospodarczego oraz Akcji Gospodarczej. Członek pierwszej Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP. W 2014 r. odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za propagowanie przedsiębiorczości. Za działalność antykomunistyczną po stanie wojennym otrzymał Krzyż Wolności i Solidarności.

fot. Centrum im. Adama Smitha



obrony dobrego imienia ministra Mieczysława Wilczka. Nagrodzeni zostali: Andrzej Walczak, ks. Jacek Gniadek, Andrzej Laskowski i Andrzej Sadowski.

Czy można powiedzieć, że była to najważniejsza ustawa w ramach transformacji ustrojowej Polski?

Z punktu widzenia polskiej gospodarki na pewno tak. Nigdy nie byłibyśmy w tym miejscu, gdzie jesteśmy, gdyby nie ta ustawa, która tak naprawdę doprowadziła do polskiego cudu gospodarczego z okresu transformacji ustrojowej. To właśnie dzięki Mieczysławowi Wilczkowi Polacy nagle na bardzo dużą skalę zaczęli handlować, zakładać przedsiębiorstwa, którym powiodło się w bardzo trudnym

Pani Barbara Wilczek-Michalik (córka ministra Mieczysława Wilczka) wraz z laureatami Nagrody Wilczka. Od lewej: ks. Jacek Gniadek, Andrzej Laskowski, Andrzej Walczak i Andrzej Sadowski.

czasie przemian i zaczęły zarabiać. Nie dość, że zabezpieczono byt wielu ludzi, to jeszcze zaczęto tworzyć zręby bardzo dobrze funkcjonującej polskiej gospodarki.

Środowiska skupione wokół Konfederacji czy związane z Centrum im. Adama Smitha wychwalają ustawę Wilczka pod niebiosa. Czy to jednak nie było tak, że została ona skrojona pod komunistyczną nomenklaturę, a reszta społeczeństwa mogła się do niej podłączyć i na niej skorzystać niejako przy okazji?

Nie siedziałem nigdy w głowie ministra Mieczysława Wilczka oraz decydentów. Uważam, że intencja jest mało ważna, bo efekt tej ustawy był dobry dla

nas wszystkich. Możemy krytykować ją za kwestie późniejszej prywatyzacji czy stworzenie narzędników do działań nomenklatury PRL-owskiej, ale powiedzmy sobie szczerze: nawet chociaż byłyby problemy z wykupem za bezcen itd., to i tak ułatwiono wszystkim otwieranie działalności gospodarczej. Oceniam tę ustawę pozytywnie i nie chciałbym się wypowiadać o intencjach, bo tak naprawdę nie do końca je znamy. Kuluary tego wszystkiego mógłby nam opowiedzieć minister Wilczek, ale on niestety już nie żyje.

Jak wyglądało to uwolnienie przedsiębiorczości Polaków w 1989 r. na tle sąsiednich byłych państw komunistycznych?

My osiągnęliśmy najlepsze wskaźniki. Możliwe, że była to terapia szokowa. Fakt, że bardzo wiele dziedzin zostało uwolnionych. Trzeba sobie powiedzieć, że ustawa Wilczka regulowała też bardzo drobny wycinek prowadzenia działalności gospodarczej. Kraje, które poszły inną drogą, które nie chciały iść na żywioł, które chciały mieć pod kontrolą większą część własnej gospodarki, sztucznie utrzymywać funkcjonujące podmioty gospodarcze – państwowe firmy, które nie przynosiły zysku, te państwa wyszły na tym źle. Możemy spojrzeć na Białoruś czy Ukrainę. W tamtych czasach – jak pokazują wskaźniki – Ukraina gospodarczo stała lepiej aniżeli Polska. A gdzie jest teraz w kontekście gospodarczym?

Tylko czy to wyłącznie dzięki Wilczkowi?

Nie tylko dzięki Wilczkowi. Dzięki polskim obywatelom, którzy nagle poczuli możliwość zarobkowania, ale potem też dzięki kolejnym reformom Leszka Balcerowicza, które były nieuniknione i musieliśmy je w Polsce wprowadzić.

Czy to nie jest tak, że wolność gospodarcza, którą wprowadził Wilczek, jest korzystna dla małych i średnich firm, ale już niekoniecznie dla międzynarodowych koncernów?

Bardzo duże międzynarodowe koncerny nie chcą wolności gospodarczej. To są firmy, które poprzez swoją wielkość, poprzez bardzo duży kapitał chcą tworzyć monopole i regulować,

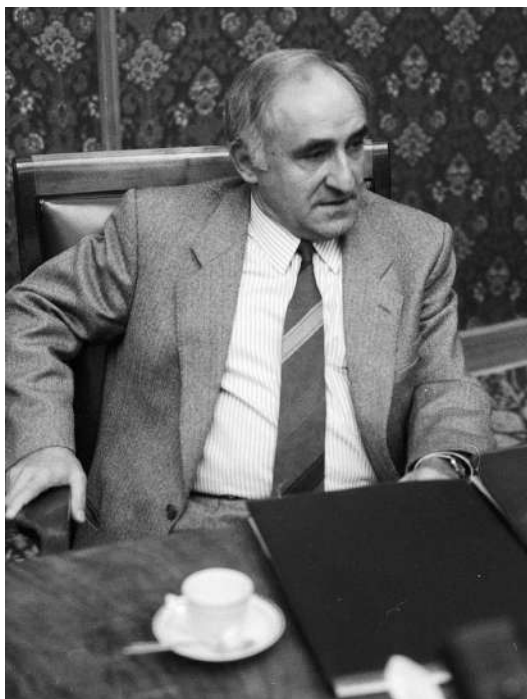


foto: Zbigniew Matuszewski/PAP

mogły wykorzystywać sytuację, czyli tanią siłą roboczą, wykwalifikowanych pracowników i prawie 40-milionowy rynek, który można było wypetnić. Mieliliśmy tak duży głód towarów i usług, że schodziło wszystko. Polacy w końcu mogli kupować i było ich na to stać.

Co Pan sądzi o tezie, że ustawa Wilczka była taką opcją zerową w gospodarce. Czy teraz – kiedy Polska jest członkiem Unii Europejskiej – taka opcja zerowa byłaby w ogóle możliwa?

W tej chwili taka ustawa nie byłaby możliwa, chociaż powinniśmy do niej wrócić, ze względu na kilka istotnych faktów. W artykule 20 Konstytucja mówi

o społecznej gospodarce rynkowej. Po drugie Unia Europejska bardzo dużo kwestii reguluje. Choćby te związane z transportem. Unia Europejska i decydenci Unii aspirują do tego, by ręcznie ustawić, jaki biznes i w jakim kraju ma dobrze funkcjonować. To nie jest gospodarka oparta o wolność ekonomiczną, tylko o interwencjonizm całej Unii. Ta gospodarka ma działać wedle jakiegoś planu. Tylko problem jest taki, że te plany bardzo źle się kończą. Mam takie wrażenie, że Unia Europejska chciałaby mieć takie pięciolatki, a my je już testowaliśmy i one

się nie sprawdziły. Podsumowując, w tym momencie przywrócenie ustawy Wilczka nie jest możliwe przez bardzo złą politykę gospodarczą Unii Europejskiej i przez to, że krępują nas przepisy polskie i polskiej konstytucji.

Czyli nie widać nawet perspektywy, żeby w Polsce znowu wprowadzić taką opcję zerową, żeby ludzie mogli się rzeczywiście bogacić i żeby szybciej wzrastał dobrobyt. No ale przecież prawo komunistyczne – z konstytucją PRL na czele – jeszcze bardziej nie dopuszczało wolnego rynku. Było znacznie bardziej re-

Kraje, które poszły inną drogą, które nie chciały iść na żywioł, które chciały mieć pod kontrolą większą część własnej gospodarki i sztucznie utrzymywać państwowe firmy, które nie przynosiły zysku, wyszły na tym źle.

strykcyjne niż to, co mamy teraz i dało się to zrobić...

Zgadzam się, że prawo było gorsze, ale trzeba zwrócić uwagę, w jakim kierunku zmierza Unia Europejska. To nie jest kierunek, gdzie meta jest z tabliczką „wolność gospodarcza” i „wolny rynek”. O ile w obecnej sytuacji niemożliwe jest wprowadzenie zasad pełnej wolności gospodarczej, o tyle trzeba pamiętać, że ekonomii nikt jeszcze nie oszukał.

To przez nią padamy w przeszłości różne imperia. Związek Sowiecki upadł też przez ekonomię. PRL upadła przez ekonomię. Jeśli dojdziemy do ściany

i wszystkie głupie rozwiązania się skończą, to w końcu wrócimy do zdrowego rozsądku, bo tylko zdrowy rozsądek będzie mógł nas uratować przed wielkim kryzysem gospodarczym, który nas będzie czekał, o ile nie zawrócimy tego pociągu, który zmierza do przepaści. Komuna upadła nie dlatego, że ludzie chcieli wolności i demokracji, tylko dlatego, że mięso i kielbasa zdrożały.

Tylko czy ten zdrowy rozsądek wróci w ramach Unii Europejskiej, czy w ramach poexitu?

To tylko i wyłącznie zależy od ludzi, którzy decydują o kształcie Unii Europejskiej. Nie jest powiedziane, że Unia Europejska nie wróci do tego, czym miała być, czyli do wspólnoty gospodarczej ze swobodnym przepływem osób, towarów, usług i kapitałów. ■

Jeśli dojdziemy do ściany i wszystkie głupie rozwiązania się skończą, to w końcu wrócimy do zdrowego rozsądku, bo tylko on będzie mógł nas uratować przed wielkim kryzysem gospodarczym. Ekonomii jeszcze nikt nie oszukał.



foto: Grzegorz Rogiński/PAP

Rok 1998. Członkowie rządu Mieczysław Rakowski, minister ochrony środowiska i zasobów naturalnych Józef Kozioł (z lewej) i minister przemysłu Mieczysław Wilczek.



Tak się wykuwał polski kapitalizm

Na samym początku polskiego kapitalizmu, zanim jeszcze 35 lat temu 1 stycznia 1989 r. weszła w życie tzw. ustawa Wilczka, bardzo szybko można było się wzbogacić. Z jednej strony ceny na zachodzie Europy były kilku-, kilkunastokrotnie wyższe niż w Polsce, więc bardzo opłacało się cokolwiek tam wywozić. Z drugiej strony nienasycony polski rynek - wygłodniały półwieczem komunistycznego niedostatku - wchłaniał nieprzebrane ilości każdego towaru.

Tomasz **CUKIERNIK**

Pan Mariusz z Gryfic już w latach 80. starał się o paszport, ale władza komunistyczna kilkakrotnie mu odmówiła. Na początku 1988 r. za namową kolegi po raz kolejny złożył wniosek o paszport. Dostał go i mógł jechać do Berlina Zachodniego, gdzie nie wy-

magano nawet wiza. To było na przełomie marca i kwietnia 1988 r. Kolega pana Mariusza zaplanował wyjazd o godz. 23. Na handel pan Mariusz wziął pół litra wódki i sztangę papierosów (tylko można było legalnie przewieźć). Z Gryfic do Berlina Zachodniego jest około 240 km.

fol. Wojciech Kryński/PAP

Na pierwszym przejściu granicznym do NRD w Kołbaskowie, jak i na drugim pomiędzy NRD a Berlinem Zachodnim nie było problemów.

Pierwsze odczucia

– Moje pierwsze odczucie w Berlinie Zachodnim było ta-



fol. Teodor Walczak/PAP

kie, że myślałem, iż zepsuł mi się samochód, bo nic nie było słychać. Na tej zachodnioniemieckiej drodze taka była różnica, że nie było słychać auta w porównaniu z pchłymi stukającą autostradą w NRD czy dziurawymi drogami w Polsce. Przeskok – wspomina pan Mariusz.

Pojechali do „Polako-Niemca”, który mieszkał w Berlinie Zachodnim.

– Wyszedłem z samochodu i zobaczyłem inny świat. Była godz. 3.30 w nocy, a w tej dzielnicy pub obok pubu, ludzie chodzą, piją piwo, cieszą się życiem... To był normalny dzień, a oni tacy zadowoleni. Całkowicie inny świat w porównaniu z tym, co się działo w Polsce. Czuć było wiosnę. Wiem, co miał na myśli prezydent Kennedy, mówiąc o berlińskim powietrzu – opowiada pan Mariusz.

Koleżdy pana Mariusza sprzedali, co mieli sprzedać. Mieli ze sobą po jednym kryształku, papierosy i wódkę. Dowiedzieli się też, że w tej dzielnicy

będzie Flohmarkt (targ staroci). W sobotę, jak Niemcy chcieli coś sprzedać, to mieli swoje stoiska. Nikt żadnych opłat za to nie pobierał.

Wracali tego samego dnia. Tydzień później pojechali bezpośrednio na Flohmarkt. Najpopularniejszymi towarami do sprzedaży były wtedy papierosy, wódka i pościel. Pan Mariusz zastanawiał się, żeby wziąć coś jeszcze. W domu miał pomalowaną rzeźbę Napoleona w drewnie, wyrzeźbioną przez miejscowego rzeźbiarza-samouka. Wziął ją. Na targu staroci jakiś Niemiec zapytał:

- Czy to jest Napoleon?
- Tak.
- Ile?
- 50 marek.
- Czy masz wódkę?
- Mam. Razem będzie 55.

Była godz. 3.30 w nocy, a w tej dzielnicy pub obok pubu, ludzie chodzą, piją piwo, cieszą się życiem... To był normalny dzień, a oni tacy zadowoleni. Całkowicie inny świat w porównaniu z tym, co się działo wówczas w Polsce.

Niemiec zapaścił. To było więcej niż miesięczna pensja w Polsce. Wtedy za 10 marek pół knajpy bawilo się dwa dni. Za taki portret pieniądze były niewyobrażalne. To natknęło pana

Mariusza, że można na tym zrobić biznes. U rzeźbiarza za symboliczny alkohol zamówił kolejnego Napoleona. Dwa tygodnie później wziął go na następny wyjazd. Na granicy w Berlinie Zachodnim byli około godz. 14. Celnicy zachodnioniemieccy stwierdzili, że to jest antyk. Skierowali ich na bok i kazali czekać na rzeczoznawcę. Ostatecznie rzeczoznawca orzekł, że rzeźba nie jest sprzed 1945 r. i Polacy zostali przepuszczeni przez granicę, ale dopiero około godz. 23. Mimo że o tej godzinie nie było już targu, Polacy musieli wjechać do Niemiec

Zachodnich, bo warunkiem powrotu do Polski przez NRD był stempel w paszporcie, że byli w Berlinie Zachodnim. Inaczej pojawiłyby się pytania, po co jechali do NRD. A choć w latach 70. można było bez problemu jeździć do NRD, to po roku 1980, od czasów Solidarności, zostało to zabronione. Wyjazd był możliwy jedynie na specjalne zaproszenie. Ta podróż nie wyszła. Pan Mariusz zabrał tę rzeźbę jeszcze na późniejsze wyjazdy, ale nie było już chętnych do kupna.

Opłacało się jechać za granicę także z innego powodu. Otóż z paszportem otrzymywało się książeczkę walutową. Na tę książeczkę w polskim banku po oficjalnym państwowym kursie można było kupić 5 dolarów.

Skrzynka w zderzaku

W tym czasie w Polsce była bardzo wysoka inflacja, a ceny w sklepach GS-owskich stały w miejscu. Można było kupić różne rzeczy bardzo tanio: kombinerki, klucze, młotki, śrubokrę-

ty. Po okolicznych wioskach jeżdżono do takich sklepów. Potem zakupione towary sprzedawano na Flohmarktach.

Z czasem te targi się rozrastały. Coraz więcej Polaków wiedziało, że można handlować. Na Potsdamer Platz w Berlinie Zachodnim stworzył się wielki targ, gdzie handlowali Polacy. Hasłem było Zigaretten nach Berlin. Numerem jeden były papierosy Marlboro. Wieść gminna niósła, że każdy, kto jedzie do Berlina Zachodniego, przywozi ze sobą pieniądze. Tak było. Urzędnicy i pracownicy państwowych przedsiębiorstw rzucaли swoje miejsca pracy. Nikt nie chciał pracować na posadach państwowych, bo każdy widział, że jest sposób, by bardzo szybko się dorobić. Wszyscy handlowali na targowisku, począwszy od dyrektorów cukrowni, na zwykłych robotnikach skończywszy. Otwierali też swoje pierwsze firmy. W okolicach Gryfic powstało kilkanaście małych tartaków. Zaczęto również produkować me-

ble, bo nowo powstające firmy potrzebowały biurka czy mebli, których nie była w stanie dostarczyć na rynek komunistyczna gospodarka.

Pewnego dnia pan Mariusz zwrócił uwagę, że we fiacie 125p po odkręceniu dwóch śrubek od lampy cofania robiło się dojskie do zderzaka. Zderzak był w środku pusty i tam mieściły się cztery rozpakowane „sztangi” papierosów. Zakręcało się lampę i skrytka był praktycznie nie do znalezienia. Raz enerdownicy celnicy – a byli oni szczególnie chamscy – rozkręcili całe auto, szukali w podszybiu, z boku w tapicerce, ale nie pomyśleli o zderzaku.

Lasy pod Berlinem

Po kilku wyjazdach koleżdy zastanawiali się, czym jeszcze można by handlować poza wódką i papierosami. W Polsce był wtedy problem z zaopatrzeniem, ale zaczęły się już pojawiać sklepy prywatne. Towary w Berlinie Zachodnim były jednak za drogie na polską kieszeń, ale w NRD – tanie. Kupowali więc tam szczoteczki do zębów, pieprz, stłodycze, kosmetyki. Po zakupach w NRD musieli wjechać do Berlina Zachodniego, żeby mieć pieczętkę. Ale enerdownicy by ich nie wypuścili z tym towarem. Towar chowali więc w torbach w lasach pod Berlinem. Po sprzedaży w Berlinie Zachodnim alkoholu i papierosów, wracając, zabierali towar z lasu. Nieraz szukali go dłużej. Nie mogli kupować w czasie powrotu, bo wracali zwykle w nocy i sklepy były już poza-



fol. Longin Wawryniewicz/PAP

mykane. Pozostał problem polskiej granicy. Doszli do wniosku, że w torbach muszą mieć też towar z Berlina Zachodniego, żeby celnik enerdowski na polskiej granicy nie widział towaru z NRD. Trzeba było wyszukać coś niedrogięgo. Turcy mieli wtedy w Berlinie Zachodnim swoje sklepy z towarami z całego świata i w miarę niskie ceny. Pierwszą rzeczą, jaką przemysłnikom rzuciła się w oczy, były gumowe szerokie pasy z motywem z przodu dla kobiet. Wzięli te pasy i przykrywali nimi enerdowski towar. I udawało się bez problemów przejeżdżać przez granicę. Polscy celnicy raczej nie robili problemów, szczególnie w godzinach wieczornych. Tureckie pasy stały się wielkim przebojem w Polsce.

Raz enerdowscy celnicy zabrali wszystko. Trochę przez głupotę Polaków. Otóż handlarze jechali dwoma samochodami. 10 km przed granicą zatrzymali się, by przepakować towar. Akurat na granicę jechał celnik i to widział. Stanął i mówił coś o przemyśle. Na wszelki wypadek koledzy pojechali na inne przejście graniczne – w Lubieszynie. Okazało się jednak, że celnik zadzwonił też tam. Na granicy celnicy wszystko kazali wypakować. Poza 20 butelkami piwa zabrali cały towar enerdowski.

– W ciągu tylu wyjazdów tylko raz zdarzyło się, że wszystko nam zabrali. Mówiłem im, że już niedługo żadnej granicy nie będzie, to się śmiali. A jednak to ja miałem rację – wspomina pan Mariusz.

Kiosk nad morzem

Potem pod Potsdamer Platz podjeżdżały autokary z całej Polski. Każdy z Polaków przywoził pół litra wódki i papierosy. W pewnym momencie z powodu nadpodaży Niemcy przestali kupować. Szczególnie trudno było sprzedać w ograniczonym czasie dwóch godzin, jaki wycieczki zwykle miały w Berlinie. Pan Mariusz z kolegami podjeżdżał więc pod taki autokar i kupowali od Polaków wódkę po 3,5 marki. Tamci i tak na tym zarabiali, bo w Polsce ta wódka kosztowała w przeliczeniu około 1,5–2 marki. A pan Mariusz miał znajomych Ślązaków w Berlinie Zachodnim, którzy kupowali każdą ilość wódki. Sprzedawali im ją po 5 marek.

Od Turków kupowali też bardzo duże ilości klisz fotograficznych Kodak i Konica, jednorazowe zapalniczki, sprzęt RTV – magnetowidy oraz słynne magnetofony „jamniki”. W niemieckich sklepach nabywali towary, jak były jakieś wyprzedaże, np. w sklepach Woolworth – dezodoranty, żele do kąpieli i inne kosmetyki. W Polsce cieszyło się to wielką popularnością. Z NRD z kolei wozili lizaki, cukierki – tego w Polsce cały czas brakowało. Z każdego wyjazdu przywoziło się też soki w kartonikach – małe i większe, których w Polsce w ogóle nie było.

Wtedy w spadku pan Mariusz dostał starą skodę 100s,

która nie jeździła, ale do której – za pomocą gazety typu kupię-sprzedam „Kontakt” – udało się kupić silnik. Bagażnik był z przodu, a silnik z tyłu. Auto miało taki plus, że oprócz tego miało bagażnik pod siedzeniami i za siedzeniami tylnymi. Celnicy prosili o otwarcie bagażnika z przodu i na tym kończyli kontrolę, a cały towar znajdował się pod siedzeniami przednimi i tylnymi. Nikt się do tego nie przycepił. Raz skoda zepsuła się 10 km przed polską granicą. I wtedy pobiła rekord prędkości. Zatrzymało się dwóch Polaków, którzy jechali z Berlina Zachodniego. Zgodzili się samochód zaholować, ale – jak wspomina pan Mariusz – byli chyba po narkotykach.

Do Szczecina jechali ze skodą na holu z prędkością 120 km/h. A droga z Kołbaskowa do Szczecina to był kawałek wąskiej kamienistej drogi poniemieckiej. I po tym bruku z taką prędkością...

Towar z Berlina gdzieś trzeba było upłynnić. Jeżdżono na targowiska. Całe chodniki na głównych ulicach w Szczecinie zajęte były łózkami polowymi. Wszyscy handlowali. Latem 1988 r. przedsiębiorcom udało się otworzyć kiosk nad morzem w Niechorzu (w miejscowości w tym sezonie były jeszcze tylko dwa takie punkty), co też było nie lada sztuką. To była jesz-

cze głęboka komuna i nie można było normalnie zarejestrować działalności gospodarczej. Oficjalnie była ona prowadzona pod szyldem za-przyjaźnionej firmy polonijnej z Poznania. Tam było mydło i powidło. Przede wszystkim upominki, pamiątki. Ponadto od artykułów, które handlarze sami przywozili z wyprzedaży z Berlina Zachodniego i z NRD – soczki, lizaki, szczoteczki do zębów, pieprz, sól, po lekkie ciuchy, które dostarczali im polscy producenci, plus w Łodzi kupili rzeczy plażowe, jak wiaderka z plastiku, latające talerze itp. Po dwóch czy trzech tygodniach u przedsiębiorców był już urząd skarbowy. Brakowało jakichś wpisów w księgowości. Ukarano ich mandatem, ale

Na targu w Mińsku te zegarki szły jak woda. W pewnym momencie pojawiła się milicja. Funkcjonariusze zabrali Polaków na posterunek i ich spisali, a następnie dali ostrzeżenie, że jak nadal będą tak handlować, to... zostaną zabici.

niezbyt wysokim. W tym czasie na polskie Wybrzeże przyjeżdżali enerdowcy. Zauważyli, że w kiosku jest towar z NRD i sami przynosili na sprzedaż pieprz, czekolady, dezodoranty. To, co mieli. A od Polaków kupowali przede wszystkim ubrania i maskotki. Płacili markami enerdowskimi. To przynosiło niemałe obroty.

W pewnym momencie w paszporcie kończyły się już kartki. W urzędzie paszportowym doklecano specjalną harmonijkę. Łącznie do Berlina Zachodniego pan Mariusz jeździł z kolegami ok. 50 razy. Jak upadł mur berliński w listopadzie 1989 r., powoli przestali handlować. Kontrole na granicach były bardziej szczegółowe. Dużo samochodów zatrzymywano. Papie-

rosy cały czas były chodliwe, ale przy dużych ilościach pojawiło się ryzyko konfiskaty nawet samochodu. No i coraz większa konkurencja ze strony rodaków.

Kryształy z Dolnego Śląska

Niemcy natomiast cały czas uwielbiali polski kryształ. Ponieważ sklepy w Polsce były już coraz gorzej zaopatrzone w ten towar, koledzy doszli do wniosku, że warto zrobić wyjazd do Wiednia. Plan był taki, że jak będą wracać, to zahaczą o Dolny Śląsk, a tam są huty i hurtownie kryształu. Pojechali do Wiednia z jednym noclegiem w Kudowie-Zdroju. Wzięli na handel jeden kryształ i sztangę papierosów. Celnicy austriaccy byli bardzo nieprzyjemni. Pełna kontrola, dużo czasu straconego na granicy. Zastanawiali się, co mogą sprzedać w punktach skupu artykułów pochodzenia zagranicznego. W sklepach na Meksykoplatz, których właścicielami byli Ormianie, Turcy i osoby podobnych narodowości, kupowali włóczki moherowe, zegarki, sprzęt elektroniczny. Zegarki pakowane były w foliach bąbelkowych po 10 sztuk. Przemysłnicy oklejali nimi całe ciało taśmą: nogi, piersi. Każdy miał na sobie od 100 do nawet 200 zegarków. Wszyscy wyglądali jak... kulturyści.

W czasie powrotu na Dolnym Śląsku zaopatrywali się w piękne, wielkie, kolorowe kryształki i one wszystkie szły następnie do Berlina Zachodniego. Sprzedawali je z zarobkiem nawet czterokrotnym, ale Niemcy i tak się cieszyli, bo dla nich to było za pół darmo.



fol. Jan Morek/PAP

Raz w tygodniu pokonywali taką właśnie trasę: Gryfice–Kudowa–Zdrój–Wiedeń–Dolny Śląsk–Berlin Zachodni–Gryfice. Przy wyjazdach do Wiednia był problem z benzyną. Brało się kanistry. Raz zabrakło im paliwa i całą noc musieli czekać przed stacją. Trzeba było przespacerować się w samochodzie. Do Wiednia jeździli przez 1,5 roku do początku 1990 r. Później już polski rynek był nasycony, bo wszyscy zaczęli jeździć. A pod Warszawą pojawiły się też pierwsze hurtownie.

Z zegarkami do Mińska

Zdarzały się mniejsze i większe wpadki. Była fama, że często celnicy konfiskują austriackie towary. I napotkali Czesi w Austrii zaproponowali, że je przewiozą. Handlarze dali im towar, a ci uciekli i tyle ich widziano. Raz pojechali do Wiednia 1 maja i ku ich zdumieniu okazało się, że w Święto Pracy w kapitalistycznej rzekomo Austrii wszystko było pozamykane. A mieli zaplanowany czasowo cały wyjazd i nie chcieli tracić całej doby. Ale po kilkunastu wyjazdach do Wiednia znali też trochę ludzi. Zrobili zakupy u znajomego, który po cichu od tyłu otworzył swój sklep.

W 1991 r. pojechali też na zaproszenie do Mińska, wtedy jeszcze należącego do ZSRR. Nie brali nic na handel z wyjątkiem zegarków. Schowali je do zderzaka. Polscy celnicy stwierdzili, że jadą na handel. Chcieli, żeby zapłacili cło. Handlarze powiedzieli, że nic nie mają, więc nie ma za co płacić. W od-

powiedzi celnicy przeprowadzili rewizję. Po stronie radzieckiej auto wjeżdżało na rampę. Celnik chodził z latarką i świecił od spodu. Pan Mariusz bał się tylko, żeby nie zagrały zegarki z melodyjką. Ale nie zagrały i celnicy nic nie znaleźli.

Na targu w Mińsku te zegarki szły jak woda. W pewnym momencie pojawiła się milicja. Funkcjonariusze zabrali Polaków na posterunek i ich spalisali, a następnie dali ostrzeżenie, że jak nadal będą tak handlować, to... zostaną zabici. Za pieniądze z tych zegarków przemysłowcy kupili złote obrączki i jakieś płyty. Nic innego tam nie było. Resztę rubli schowali do koła zapasowego. Na granicy celnik zażartował:

– Na pewno w kole macie ruble.

– Tak, mamy.

Ale celnicy nie sprawdzili. Więcej do ZSRR już się nie wybrali.

Ludzie się dorabiali

To były takie szybkie lata. Nie mając nic, można było dojść do czegoś. Pan Mariusz zarobione pieniądze zainwestował w różne biznesy. Miał sieć kiosków w Szczecinie, hurtownię kaset, hurtownię baterii, sklepy nad morzem. Na koniec został mu ośrodek wczasowy i sklep nad morzem.

– Z niczego ludzie się dorabiali. Nie mając grosza, udało się

do czegoś dojść. Jak patrzę teraz na młodych, to jest naprawdę problem, żeby się dorobić – ocenia.

Jednak były też różnego rodzaju utrudnienia. W Polsce każdą ilość alkoholu można było sprzedać w punktach skupienia artykułów pochodzenia zagranicznego. Wtedy ludzie dorabiali się także na przywozie taniego alkoholu z Hamburga.

Zwożono go całymi tirami. Ale trzeba było mieć większą ilość gotówki. Pan Mariusz poszedł do banku, ale pracownicy popatrzyli na niego jak na człowieka z innej planety. Kredytu oczywiście nie dostał. Trzeba było mieć znajomości.

Teraz niemal cały handel w Polsce został przejęty przez koncerny zagraniczne, głównie niemieckie. Sieci te – w przeciwieństwie do polskich firm – nie tylko dostawały preferencyjne warunki prowadzenia działalności od polskich władz, ale i nie miały problemu z uzyskaniem kredytów bankowych na inwestycje w naszym kraju. W rezultacie zamiast bogacenia się Polski i Polaków mamy olbrzymi transfer kapitałów za granicę.

Jeśli ktoś chce opowiedzieć o swoich przygodach z handlem w latach 80. albo 90., może się zgłosić do autora artykułu pod adresem: tomcuk@interia.pl. ■

Na Potsdamer Platz stworzył się wielki targ, gdzie handlowali Polacy. Hasłem było Zigaretten nach Berlin. Numerem jeden były papierosy Marlboro. Wieść gminna niósła, że każdy, kto jedzie do Berlina Zachodniego, przywozi ze sobą pieniądze.

Jacek

Gniadek SVD



Milei i libertariańskie credo

Na Światowym Forum Ekonomicznym Javier Milei, libertariański prezydent Argentyny, powiedział, że największym niebezpieczeństwem dla świata jest socjalizm. Prawie nikt nie zwrócił uwagi, że Milei wspominał także o libertariańskim credo, które głosi, że wszyscy są równi i mają takie same prawa przyznane przez Stwórcę, do których należy prawo do życia, wolności i własności.

Są różne libertarianizmy. To nie tylko nieograniczony wolny rynek, własność prywatna, sceptycyzm wobec państwa, ale także obiektywne standardy moralne, które można odnaleźć w tradycji judeochrześcijańskiej. Rdzeniem libertarianizmu konserwatywnego są przykazania „Nie kradnij” i „Nie zabijaj”. To dlatego Milei skrytykował także aborcję.

Po powrocie z Davos Milei wysiadł na lotnisku w Argentynie z książką F.A. von Hayeka „Indywidualizm i porządek ekonomiczny” w ręce. Warto pamiętać, że odkrycie rynku nie jest zasługą libertarian. Słuszna cena, jak twierdzili teologowie i ekonomiści już w średniowieczu, powstaje w wyniku powszechnego i wspólnego oszacowania wszystkich podmiotów na rynku (communis aestimatio). Muszą być jednak spełnione odpowiednie warunki.

Cena rynkowa zależy od preferencji czasowej. Hans-Herman Hoppe trafnie zauważył, że w demokracji, gdzie życie toczy się od wyborów do wyborów, preferencja czasowa podwyższa się. Dotyczy to nie tylko polityków, ale również wyborców, którzy stają się coraz bardziej roszczeniwi. Proces ten w demokracji, która odrzuca Boga, tylko się pogarsza.

Milei w Davos pokazał, że wie, jaką rolę w życiu pełni transcendencja, która została odkryta przez Platona i Arystotelesa. Gwarancją ekonomicznego porządku jest oparcie się na judeochrześcijańskie wartości. Bł. Antoni Rosmini, włoski filozof z XIX w., pisał, że na straży praw człowieka stoją nie tylko konstytucja i własność prywatna. Ich filarami są także wolność i autonomia Kościoła, który musi być finansowo całkowicie niezależny od państwa. Inny włoski filozof Pietro Piovani powiedział, że „gdyby klasyczna (liberalna) ekonomia nie istniała, Rosmini, dla zachowania spójności z własnymi ideami, musiałby ją wymyślić”. Słowa te mogą być zaskakujące dla bardzo wielu katolików, gdyż połączenie chrześcijaństwa z ekonomią wolnorynkową sprawia im ciągle wiele trudności.

Na straży praw człowieka stoją nie tylko konstytucja i własność prywatna. Ich filarami są także wolność i autonomia Kościoła, który musi być finansowo całkowicie niezależny od państwa.

Wróćmy do Davos. Z przemówienia Milei wynika, że jest tego świadomy, że transcendencja jest potrzebna demokracji, aby preferencja czasowa wróciła do normy i dorośli ludzie zaczęli oszczędzać, zakładać rodziny i mieć dzieci. Milei zna założenia szkoły austriackiej ekonomii i wie, że stopa procentowa na wolnym rynku jest określana przez preferencję czasową wszystkich jednostek, które tworzą gospodarkę. Wie również, że wysoka preferencja czasowa większości uczestników rynku wprowadza do gospodarki i państwa poważne zmieszanie.

Niedawno papież Franciszek skrytykował libertarianizm za skrajny indywidualizm. Dla niego każdy system, który nie odnosi się do transcendencji, jest ideologią. Papież niedawno ogłosił, że chciałby się wybrać z pielgrzymką do Argentyny. Może zmieni zdanie o libertarianach, poznając osobiście takiego, który odwołuje się do Stwórcy...

Niedawno papież Franciszek skrytykował libertarianizm za skrajny indywidualizm. Dla niego każdy system, który nie odnosi się do transcendencji, jest ideologią. Papież niedawno ogłosił, że chciałby się wybrać z pielgrzymką do Argentyny. Może zmieni zdanie o libertarianach, poznając osobiście takiego, który odwołuje się do Stwórcy...

Czego obawia się polski przedsiębiorca?

Ostatnie lata nie sprzyjały prowadzeniu biznesu. Z jednej strony liczne zawirowania o charakterze globalnym, z drugiej regionalnym, wreszcie pewna instytucjonalno-legislacyjna zawierucha skutecznie hamowały zapędy przedsiębiorczych firm. Negatywnych doświadczeń było tu bez liku, ale czy stały się one źródłem wiedzy na temat tego, co w zasadzie boli polskich przedsiębiorców?

Jacek PODGÓRSKI

Stabilnością prowadzenia biznesu najpierw zachwiała globalna pandemia. Widmo zakłóceń w łańcuchach dostaw czy reminiscencje lockdownów wciąż spędzają zresztą sen z powiek przedsiębiorcom. Rekordowa inflacja, z którą w znacznej mierze borykamy się do dziś, ostudziła zakupowe zapędy konsumenckie. Wojna na Ukrainie zdestabilizowała sytuację na kontynencie. Do tego dotożyć należy kataklizm cenowy na rynkach energetycznych. Biorąc pod uwagę wszystkie te czynniki, należy zastanowić się, jakim cudem firmy w zasadzie przetrwały ten okres? No, ale jednak wciąż istnieją.

Statystyczny absurd

Wydawać by się mogło, że wszystkie te przeszkody powinny natchnąć rządzących do – na nowo – uwolnienia potencjału firm funkcjonujących na polskim rynku. To wydawałoby się działaniem logicznym, bo przecież kryzys to czas, w którym rodzą się giganci. I owszem – część działających na krajowym podwórku przedsiębiorstw rozwinęła skrzydła, ale były to zazwyczaj wielkie podmioty, które skumulowały wcześniej kapitał przeznaczony na rozwój w obszarach, które przyniosły wielokrotne zyski. Inna jest jednak sytuacja dużych podmiotów

(zazwyczaj o kapitale zagranicznym), a inna firm MŚP czy mikropodsiębiorstw.

Na marginesie – samo wrzucanie mikrofirm do jednego worka z małymi i średnimi przedsiębiorstwami zakrawa na statystyczny absurd. Trudno porównać bowiem realnie małą firmę, która przecież zatrudniać może do 50 pracowników, i średnią, w której

pracować może do 250 osób, z mikrofirmą. Ich sytuacja jest diametralnie odmienna. Niemniej trzeba radzić sobie z prezentowanymi w tej formie z uporem maniaka danymi, a zatem...

Jednak się boją

W ostatnich tygodniach w przestrzeni medialnej pojawiać zaczęły się komunikaty prezentujące narra-

cję, w myśl której firmy sektora MŚP (sic!) miały z optymizmem patrzeć w przyszłość. Twarde dane kierują nas w stronę zgoła odmiennej perspektywy. Otóż w najnowszym badaniu Kaczmarek Group 2024 rok z perspektywy mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw, aż 96 proc. firm sektora MŚP ma obawy związane z prowadzeniem działalności gospodarczej w 2024 r. Tym, co szczególnie spędza sen z powiek firmom, są wysokie koszty prowadzenia działalności gospodarczej. Aż 54 proc. badanych boi się wzrostu cen

surowców, energii i niezbędnych im materiałów. 52 proc. niepokoi się natomiast rosnącymi kosztami pracy.

Trudno się dziwić. Ten rok będzie testem wytrzymałości dla najmniejszych firm w kraju z uwagi na dwukrotną podwyżkę minimalnego wynagrodzenia. Mówimy o ogromnej podwyżce, bo wynoszącej (tylko od stycznia) 642 zł. Z punktu widzenia mikropodsiębiorców obciążenie to może okazać się graniczne. Zresztą pewne symptomy paniki w środowisku małego biznesu widać było już w ubiegłym roku, który okazał się rekordowy w kontekście liczby zamkniętych i zawieszonych działalności gospodarczych. Znaczna część tych działań przypadła na ostatni kwartał roku, który był ostatnim gwizdkiem dla firm względem uniknięcia płacowej pułapki. Sytuacja jest tu zresztą nieco bardziej skomplikowana. Nawet w kontekście mikrofirm pod uwagę wziąć należy różnicowanie terytorialne. W innej sytuacji są dziś bowiem przedsiębiorcy z Warszawy, Krakowa, Gdańska czy Wrocławia, a w odmiennej biznes z Szamotuł, Lubawy, Siemiatycz czy ośrodków wiejskich.

Obawa o klientów

W ostatnich latach rosły także obciążenia składkowe. Droższe było utrzymanie powierzchni, wyższe były ceny energii, gazu czy paliw. Firmom nie pomagała inflacja, która wywierała – i wciąż wywiera – wpływ na podwyżki wynagrodzeń. A to tylko niektóre z problemów.

Pewne symptomy paniki w środowisku małego biznesu widać było już w ubiegłym roku, który okazał się rekordowy w kontekście liczby zamkniętych i zawieszonych działalności gospodarczych.



Trzecią najważniejszą obawą firm jest utrata klientów. Jak podaje Kaczmarski Group, spędza ona sen z powiek aż 44 proc. MŚP z branży budowlanej. To istotne w kontekście zadłużenia sektora, które – jak podają eksperci – wynosi dziś około 1,5 mld zł (tylko w ostatnim roku wartość ta wzrosła o 13 proc.). Utraty klientów, według badania, obawia się łącznie 38 proc. wszystkich mikro-, małych i średnich firm w kraju, które dokładają tu jednak niepokoje związane z możliwym spadkiem wartości sprzedaży i zysków.

Legislacyjny chaos

Wciąż ważnym dla przedsiębiorców tematem jest legislacja. 30 proc. MŚP boi się wejścia w życie niekorzystnych dla nich rozwiązań prawnych. W tym kontekście największe obawy przedstawiają mikroprzedsiębiorcy. Tę sytuację da się jednak okiełznać, ale wymaga to chęci ze strony rządzącej koalicji, które – jak można wnioskować po zapowiedziach kierownictwa Ministerstwa Rozwoju i Technologii – istnieją.

Trudnością, z którą często muszą mierzyć się przedsię-

96
proc.
polskich firm
sektora MŚP
ma obawy
związane
z prowadzeniem
działalności
gospodarczej
w 2024 r.

biorcy, jest nadprodukcja prawa w Polsce oraz szalenie okrojony czas na implementację pojawiających się przepisów. W 2023 r. w Dzienniku Ustaw ukazało się 2824 nowych pozycji – był to trzeci najbardziej „pracowity” rok w historii. Średni czas na reakcję na nowe prawo sytuuje nas niestety w ogonie Unii Europejskiej. Według danych Grant Thornton w 2022 r. w okresie od stycznia do września średnie vacatio legis dla ustaw wynosiło 31,9 dnia i 6,9 dnia dla rozporządzeń.

Wciąż wiele aktów prawnych pojawia się jednak „już”, nad-

używając art. 4 ustawy o ogłoszeniu aktów normatywnych i niektórych innych aktów prawnych, i wykorzystywania zapisów o „ważnym interesie państwa wymagającym natychmiastowego wejścia w życie aktu normatywnego”, który pozwala na „ekspresową legislację”.

A gdyby tak, co przecież nie jest znowu takie trudne, ustalić, że akty prawne regulujące funkcjonowanie przedsiębiorstw wchodziły w życie raz w roku – wraz z początkiem stycznia – z dwunastomiesięcznym vacatio legis? Nie jest to niemożliwe. Byłby to miły krok ku odbudowaniu zaufania przedsiębiorców do państwa. Dziś przecież jedną z największych bolączek, z którą mierzyć muszą się firmy, jest legislacyjny chaos, „bajpasowanie” aktów prawnych udających projekty poselskie czy korzystanie z „dobrodziejstw” tak zwanych wrzutek.

Trudno potem dziwić się, że stopa inwestycji w Polsce wynosi obecnie wstydliwe 16,7 proc. Tworzenie przyjaznego biznesowi środowiska prawno-regulacyjnego powinno być jednym z głównych celów realizowanych przez państwo. Jest to szczególnie istotne w czasie zawirowań gospodarczych i generalnej niepewności co do rozwoju sytuacji makroekonomicznej.

Wspólna droga

Ostatnie zapowiedzi Ministerstwa Rozwoju i Technologii sprawiają wrażenie obrania właściwego kierunku zmian i – przynajmniej częściowego – wsłuchania się w postulaty przedsiębiorców. Ministerstwo zapowiedziało ucywilizowanie kwestii vacatio legis i ustalenie jego minimalnego okresu dla aktów gospodarczych (okres ten jest zbyt krótki, bo wynosić ma 1-3 miesiące, ale jednak!), zapowiedziane zostały zmiany względem przejścia świadczenia chorobowego przez ZUS od pierwsze-

go dnia niezdolności pracownika do pracy, jak bumerang powraca temat wakacji składkowych (choć bardziej celnym rozwiązaniem byłoby zniesienie ograniczeń czasowych w Małym ZUS dla mikroprzedsiębiorców) czy ograniczenia uciążliwości kontroli prowadzonych w firmach. Te postulaty biznes stara się zaszczerpić rządzącym od lat.

Pozostaje tu kwestia zaprezentowania konkretnych rozwiązań, z którymi wyjdzie resort rozwoju i technologii. Będzie też trzeba zmierzyć się przecież z postulatami prezentowanymi przez organizacje zrzeszające pracowników. Ale jednak coś drgnęło. Niech będzie to pozytywna prognoza na początek wyboistej drogi, którą – wspólnie – podążać będą minister Krzysztof Hetman i polski biznes.

Wciąż ważnym dla przedsiębiorców tematem jest legislacja. 30 proc. MŚP boi się wejścia w życie niekorzystnych dla nich rozwiązań prawnych. W tym kontekście największe obawy przedstawiają mikroprzedsiębiorcy.



Czego nie warto zdradzać w dokumencie strategii podatkowej

Przygotowując dokument informacji o strategii podatkowej realizowanej przez firmę, należy pamiętać o ochronie tajemnicy przedsiębiorstwa. Informacje nią objęte są wyłączone z obowiązku podawania ich w strategii. Warto o tym wyłączeniu pamiętać, aby w publikowanej informacji nie ujawniać za dużo danych - mówi Justyna Chylińska, ekspert od transparentności podatkowej w Thedy & Partners.

Rozmawiała Ewa KONDERAK

Do końca grudnia przedsiębiorcy powinni opublikować informacje o realizowanej strategii podatkowej. Czym dokładnie ta informacja jest?

Informacja o realizowanej strategii podatkowej to dokument zawierający informacje o aktywności firmy w obszarach mających kluczowe znaczenie z punktu widzenia wywiązywania się ze zobowiązań wynikających z przepisów prawa podatkowego, w tym w szczególności w zakresie procedur i procesów obowiązujących w firmie dotyczących wywiązywania się z obowiązków podatkowych, dobrowolnych form współpracy z organami podatkowymi, raportowania schematów podatkowych MDR, transakcji dokonywanych z podmiotami powiązаныmi, planowanych i dokonywanych działań restrukturyzacyjnych, złożonych wnioskach o wydanie indywidualnych interpretacji prawa

podatkowego oraz rozliczeń podatkowych dokonywanych w tzw. rajach podatkowych.

Nie wszystkie firmy muszą informację o strategii publikować. Kto dokładnie jest do tego zobowiązany?

Obowiązek sporządzenia i opublikowania tzw. strategii podatkowej ciąży wyłącznie na podatkowych grupach kapitałowych, podatnikach, u których wartość przychodu uzyskana w roku podatkowym przekroczyła równo- wartość 50 mln euro, oraz tzw. spółkach nieruchomościowych, czyli spółkach, których co najmniej 50 proc. wartości rynkowej aktywów na pierwszy dzień roku podatkowego lub na ostat-

ni dzień roku poprzedzającego rok podatkowy stanowiła wartość rynkowa nieruchomości położonych w Polsce (lub praw do takich nieruchomości) oraz wartość rynkowa tych nieruchomości przekraczała 10 mln zł.

Jednocześnie, z obowiązku publikacji informacji o strategii podatkowej zwolnione są podmioty będące stroną umowy o współdziałanie zawartej z szefem Krajowej Administracji Skarbowej.

Czy dokument strategii powinien być w każdej firmie tworzony każdego roku od nowa, czy np. wystarczy jego odpowiedni cykliczny przegląd i ewentualne niezbędne modyfikacje?

Pamiętajmy, że przepisy ustawy o CIT z obowiązku publikacji w dokumencie wyłączają informacje objęte tajemnicą handlową, przemysłową, zawodową lub tajemnicą procesu produkcyjnego.

Jeżeli firma dysponuje już dokumentem informacji o strategii podatkowej realizowanej w poprzednim roku, jak najbardziej możliwe jest przygotowanie dokumentu tzw. informacji o strategii podatkowej w oparciu o ten dokument, oczywiście po dokonaniu odpowiedniej weryfikacji dokumentu i uwzględnieniu aktywności firmy we wskazanych już obszarach do ujęcia w tzw. strategii podatkowej.

Strategia podatkowa może być ciekawą lekturą dla konkurencji. O czym warto pamiętać przy jej tworzeniu i publikacji, aby nie zdradzić zbyt wiele, a dopełnić obowiązków wynikających z przepisów?

Przygotowując dokument informacji o strategii podatkowej realizowanej przez firmę, należy pamiętać o ochronie tajemnicy przedsiębiorstwa. W tym zakresie przepisy ustawy o CIT z obowiązku publikacji w dokumencie wyłączają informacje objęte tajemnicą handlową, przemysłową, zawodową lub tajemnicą procesu produkcyjnego. Z tego względu w dokumencie nie należy wskazywać informacji wykraczających poza zakres wskazany w przepisach

ustawy o CIT, np. szczegółowego opisu stanu faktycznego przedstawionego we wniosku o wydanie indywidualnej interpretacji prawa podatkowego albo o sposobie rozpatrzenia wniosku przez organy podatkowe.

Czy za brak publikacji informacji o strategii grożą przedsiębiorcom jakieś kary?

Tak, w przypadku braku publikacji informacji o strategii podatkowej podatnik podlega karze pieniężnej w wysokości nawet do 250 tys. zł. ■



Wraz ze zmianą rządzącej opcji politycznej jak bumerang powraca w przestrzeni medialnej idea wejścia Polski do strefy euro oraz przyjęcia wspólnej waluty. Byłby to ogromny błąd.

Robert AZEMBSKI

Eurotrucizna dla gospodarki

To prawda, że Polska zobowiązała się do przyjęcia euro w momencie przystąpienia do Unii Europejskiej. Nikt rozsądny nie twierdziłby przecież, że było inaczej. Kiedy jednak ma to zrobić? Traktat akcesyjny nie określa daty granicznej na wypełnienie tego zobowiązania. Prawdą jest również, przez ostatnie dwadzieścia lat spadała liczba europejskich krajów, które euro jeszcze nie mają. Niemniej tak się składa, zapewne nie przypadkiem, że kraje Europy Środkowo-Wschodniej

jakoś się do strefy euro nie pałą. To, że euro nie ma jeszcze Bułgaria i Rumunia, można tłumaczyć faktem, że oba kraje należą do Wspólnoty od stosunkowo niedawna. Jednak Polska, Czechy i Węgry wstąpiły do niej wcześniej od krajów bałkańskich, a jednak od eurozony stronią.

Bardziej wiarygodni? Wcale nie

Wbrew temu, co lubią opowiadać euroentuzjaści, polityka gospodarcza jakiegoś kraju nie staje się ani na jotę bardziej

14,3 mld dol. wyniósł w latach 2020–2022 średnioroczny napływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych do Polski.

wiarygodna tylko ze względu na rozliczanie się w tej, a nie w innej walucie. Sięgnijmy do sztandarowego przykładu: czy gospodarka i działania administracji USA są bardziej wiarygodne dlatego, że większość krajów uznaje dolara (przynajmniej wciąż jeszcze uznaje) za godną zaufania walutę rozliczeniową? Przecież nie. Nie to przede wszystkim decyduje o atrakcyjności zakupu amerykańskiego długu publicznego.

Także psu na budę nadaje się – zwłaszcza w świetle kryzysów, które następo-

wały począwszy od 2007 r. – argument za przyjęciem euro jako stabilnej waluty. Jest dokładnie odwrotnie: wahania nominalnego kursu walutowego własnej waluty stanowią wypróbowane i doskonale narzędzie amortyzowania szoków gospodarczych. Zwłaszcza tych, których źródło znajduje się poza domeną gospodarki danego kraju. Wystarczy przy-

Temat przyjęcia przez Polskę euro będzie z pewnością jeszcze nieraz powracał, ale sensowniej jest patrzeć na niego jak na projekt polityczny, a nie ekonomiczny.

pomnieć sobie kryzysy ostatnich kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu lat. Czy był to kryzys związany z pęknięciem „bańki” teleinformatycznej, czy bankowy subprime z lat 2007–2008, czy wreszcie ostatni wywołany pandemią COVID-19, zawsze było tak samo – kapitał spekulacyjny brał nogi za pas i uciekał z krajów określanego jako „rynki wschodzą-

ce”, a więc i z Polski. I co się dalej działo? Nic. W każdym razie strasznego. Odptyw kapitału oznaczał uruchomienie niemal automatycznego mechanizmu osłabienia złotego. To zaś działało na korzyść polskich eksporterów, których przychody wtedy oczywiście rosły.

„Płynny” złoty, którego realna siła wynika z fundamentów naszej gospodarki, jest doskonałym jej stabilizatorem, na dodatek takim, na który polski bank centralny ma możliwość oddziaływania przez instrumenty polityki pieniężnej.

Słowackie euro

Prześledźmy za portalem obserwatorgospodarczy.pl losy gospodarek kilku krajów, w przypadku których wydawało się, że euro im pomogło. Czas słowackiego wejścia do strefy euro to rok 2009. Faktycznie, pierwsze dobre lata po przyjęciu wspólnej waluty mogły wskazywać, że gospodarcę słowackiej ta europejska waluta faktycznie pomogła. Dalej było już jednak gorzej.

Według Polskiego Instytutu Ekonomicznego (PIE), od 2020/2021 roku słowackie tempo rozwoju osłabło na tyle, że PKB per capita było wyraźnie niższe niż Polsce i na Węgrzech (w Polsce wręcz zaczęło rosnać). Oczywiście narzuca się wytłumaczenie tego pandemicznym kryzysem, ale wszak takiego kryzysu z „dobrodziejstwami” lockdownów doświadczyły nie tylko kraje naszego regionu. Po obwieszczeniu końca pandemii wraz z dniem ataku Rosji na Ukrainę baza do odbicia się gospodarek większości krajów europejskich była niska, ale to właśnie Słowacja ugrzęzła w gospodarczym marazmie. I wszystko wskazuje obecnie na to, że w takowym pozostanie na dłużej.

Włochy w pułapce płac

Teraz słów kilka o gospodarce włoskiej, gdzie wytworzyła się w ostatnich latach patowa sytuacja – w efekcie chaotycznych działań rządu usiłującego wesprzeć gwarancje dla całych rzesz pracowników na umowach cywilnoprawnych, doszło

do tego, że płace ustabilizowały się na zbyt niskim poziomie, by wspierać popyt wewnętrzny i inwestycje krajowe, a zarazem za wysokim, by promowały rozwój firm, zwłaszcza eksportowych. Ponieważ Włochy od dawna nie mają własnej waluty (tylko euro), nie mogą oddziaływać na jej osłabienie, co zazwyczaj poprawia konkurencyjność gospodarki. Mogą tylko „manewrować” podatkami, podwyższając je, co z kolei owocuje spadkiem realnych dochodów ludności oraz stopy oszczędności.

Jedyną zaletą takiej polityki jest chyba tylko jej antyinflacyjne oddziaływanie. Co nie zmienia faktu, że włoska gospodarka w ostatnich kilkunastu latach permanentnie jest słaba, a euro im w niczym nie pomaga. Według Międzynarodowego Funduszu Walutowego Włochy były jednym z krajów, które najmniej rozwinęły się w latach 1990–2020.

Euro w Hiszpanii

A jak na przyjęcie euro zareagowała Hiszpania? Po dołączeniu do strefy wspólnej waluty w 1999 r. nastąpiło oczywiście, większe niż wcześniej, otwarcie hiszpańskiego rynku dla kapitałów z krajów eurozony. Napływ kapitału, jaki po tym nastąpił, nie był chyba jednak tym, o który Hisz-



„Płynny” złoty, którego realna siła wynika z fundamentów naszej gospodarki, jest doskonałym jej stabilizatorem, na dodatek takim, na który polski bank centralny ma możliwość oddziaływania przez instrumenty polityki pieniężnej.

panom chodziło, bo po tańsze zagraniczne finansowanie w postaci kredytów hipotecznych sięgnęły przede wszystkim firmy prywatne. W ten oto sposób już w 2007 r. zadłużenie hiszpańskiego sektora prywatnego wzrosło do ponad 100 proc. PKB, a na rynku nieruchomości powstała bańka (wzrost cen mieszkań w latach 2000–2007 wniósł nominalnie 150 proc.).

Hiszpański rząd usiłował przeciwdziałać bańce,

zwiększając podaż mieszkań, co jednak nie powstrzymało dalszego wzrostu cen. Windowaniu płac nominalnych, a więc i kosztów pracy ponoszonych przez przedsiębiorców, nie towarzyszył adekwatny wzrost wydajności pracy. To z kolei negatywnie przełożyło się na wyniki przedsiębiorstw, zwłaszcza eksportowych. Podczas i po kryzysie covidowym z konieczności doszło do gwałtownego przykręcenia kurka z kredytami, co z kolei spowodowało pęknięcie bańki na rynku nieruchomości, znaczące straty deweloperów oraz spadek dochodów państwa z podatków.

Jak zauważa obserwatorgospodarczy.pl, płynność w hisz-

pańskim sektorze bankowym została przywrócona przez Europejski System Banków Centralnych z opóźnieniem, a „kolejne lata przyniosły kryzys zadłużeniowy w krajach Europy Południowej, w wyniku czego dostęp banków w Hiszpanii do źródeł finansowania dosłownie wysechł”.

Inwestycje hulają

Nie mamy euro, a bezpośrednie inwestycje zagraniczne do Polski – jeśli wierzyć danym PIE – są bardzo wysokie, także w porównaniu z innymi krajami naszego regionu. W latach 2020–2022 średnioroczny napływ BIZ (bezpośrednich inwestycji zagranicznych) do Polski wyniósł 14,3 mld dolarów,

do Rumunii – 7,8 mld dolarów, na Słowację – 5,3 mld dolarów, na Węgry – 1,5 mld dolarów, a do Czech – 0,4 mld dolarów. W ujęciu relacji tych wartości do PKB lepsze od Polski były tylko Węgry, których BIZ stanowiły 5,1 proc. PKB.

Polska może konkurować o inwestycje nie tylko dobrze wykształconą i wydajną siłą roboczą, coraz lepiej rozwiniętą infrastrukturą oraz dobrym położeniem geograficznym, ale także elastycznością kursu walutowego rodzimej waluty.

Czy euro przynosi wzrosty?

Posiadanie euro przez dany kraj nie tylko nie zwiększa jego konkurencyjności, ale może

PIĘĆ ARGUMENTÓW PRZECIWKO WEJŚCIU POLSKI DO STREFY EURO

1. Przyjęcie euro oznacza konieczność rezygnacji z kontroli nad krajową polityką gospodarczą, co jest rzeczywistością, z którą muszą się mierzyć wszystkie kraje strefy euro, a zwłaszcza młode gospodarki rynkowe, takie jak Polska;
2. Kraj, który przyjmie euro, traci w dużym stopniu możliwość skutecznego kształtowania polityki pieniężnej rodzimego banku centralnego;
3. Wyższy popyt krajowy w warunkach waluty euro może prowadzić do presji inflacyjnej oraz zwiększenia importu, co z kolei pro-

- wadzi do wyższego deficytu na rachunku obrotów bieżących;
4. Istnieją oczywiste strukturalne różnice między krajami Euro-py, więc nawet jeśli Unia Gospodarcza i Walutowa zaczyna być w stanie konwergencji, szoki gospodarcze, takie jak kryzys dostaw produktów podstawowych, prowadzą do nierówności pomiędzy krajami, zaś strefa euro i jej instytucje jak dotąd nie wypracowały mechanizmu przywracania równowagi;
5. Sam fakt posiadania wspólnej waluty nie oddziałuje pozytywnie na wzrost PKB.

wręcz działać hamująco na dynamikę wzrostu PKB. Przykładem są Francja i Włochy, gdzie wzrost PKB per capita tych krajów nie nadąża za trendem wzrostu Produktu Krajowego Brutto w krajach posiadających własną walutę. Z kolei tempo rozwoju gospodarczego Austrii i Belgii jest zbliżone do średniego tempa wzrostu PKB w strefie euro, a przyjęcie przez te kraje euro pozostawało bez wpływu na wzrost PKB.

Nie tylko wspomniana Hiszpania, ale i Grecja po przyjęciu euro zanotowały wyraźny wzrost PKB per capita. Efekt ten jednak szybko zniknął po pęknięciu baniek na rynku nieruchomości.

Z kolei Holandia do 2009 r. nie odbiegała, jeśli chodzi o tempo wzrostu gospodarczego, od średniej unijnej, ale gospodarka holenderska zaczę-

ła tracić na dynamice już po 2010 r.

Bez wpływu na inflację

Obiegowa opinia głosi, że po przyjęciu euro przez jakiś kraj następuje automatyczny wzrost inflacji. Za przykład takiej reakcji gospodarki chętnie przywoływana jest Słowacja, gdzie faktycznie zdarzało się, że przedsiębiorstwa zaokrąglają ceny w górę, by korzystając na zamieszaniu wynikłym ze zmiany, więcej zarobić. Nie miało to jednak decydującego znaczenia.

Według danych Eurostatu opublikowanych półtora roku po przyjęciu euro przez Sło-

wację, wpływ tej waluty na inflację w pierwszej połowie roku mieścił się w przedziale od 0,0 do 0,2 pkt. procentowego. Presja na inflację miała krótkotrwały charakter i w średnim terminie zanikła. Wzrost cen można było zaobserwować jedynie w wybranych segmentach sektora usług MŚP: podwyższyły je restauracje, kawiarnie, pralnie chemiczne, fryzjerzy, kosmetyczki itp. Nie zaobserwowano jednak zjawiska odwrotnego, żeby euro przyczyniło się do spadku wzrostu cen – wpływ wspólnej waluty na inflację był po prostu neutralny.

Obserwując słowacką gospodarkę w dłuższym horyzoncie czasowym, można zauważyć inne zjawisko: jeszcze w latach 2004–2009 pensje

Słowaków średniorocznie rosły najszybciej spośród krajów Grupy Wyszehradzkiej. Po przyjęciu euro dynamika ich wzrostu spadła o ponad połowę! A zatem tak czy inaczej spadł dochód rozporządzalny obywateli Słowacji.

Generalnie – jak czytamy w jednej z analiz obserwatoragospodarczego.pl – „w krajach strefy euro wpływ przyjęcia wspólnej waluty na ogólny poziom cen w gospodarce był minimalny i w średnim terminie niemal nieodczuwalny przez konsumentów. Spośród krajów CEE

(bez Chorwacji) uczestniczących w projekcie Unii Gospodarczej i Walutowej (UGW): Estonia, Litwa, Łotwa, Słowenia, Słowacja, tylko w Słowenii odnotowano znaczny wzrost cen

po przyjęciu euro”. Inna sprawa, że część przedsiębiorców, zwłaszcza handlujących z różnymi krajami Unii Europejskiej i tych większych, chwaliła euro, dzięki któremu mogli

oni zmniejszyć koszty związane z zabezpieczeniem ryzyka walutowego.

Euro a stopy procentowe

Można spotkać się z opinią, że euro sprzyja prowadzeniu polityki niskich stóp procentowych, co ma być bezdyskusyjnym dobrodziejstwem dla gospodarki. W przypadku Polski taka argumentacja nie sprowadza się z prostego powodu – obniżenie stóp przez bank centralny nie owocuje proporcjonalnie wyższą podażą taniego kredytu dla firm i gospodarki. Lepsze efekty przynosi tu – jak się wydaje – mądrze prowadzona polityka fiskalna. Niskie czy wyższe stopy procentowe bywają tylko jednym z narzędzi polityki gospodarczej i nie powinny być celem samym w sobie. W warunkach nadal wysokiej inflacji (nie tylko w Polsce) nieadekwatne do sytuacji gospodarczej obniżenie stóp nie podtrzymałoby wzrostu gospodarczego, ale zadziałałoby proinflacyjnie. A zatem i w tym przypadku argument o zawiennym posiadaniu wspólnej waluty europejskiej nie wytrzymuje krytyki.

Temat przyjęcia przez Polskę euro będzie z pewnością jeszcze nieraz powracał, ale sensowniej jest patrzeć na niego jak na projekt polityczny, a nie ekonomiczny. ■

W artykule wykorzystano analizy oraz dane publikowane przez Dawida Błaszkwicza w serwisie obserwatorgospodarczy.pl



Do 20 lutego można zmienić sposób rozliczeń ze skarbówką

Przedsiębiorca, który w styczniu 2024 r. uzyska pierwszy przychód, a chce zmienić formę rozliczeń z fiskusem, musi o takiej decyzji zawiadomić urząd skarbowy do 20 lutego. W swoim piśmie powinien poinformować, jaki sposób opodatkowania wybiera.

Ewa KONDERAK

S tosowanych aktualizacji można też dokonać za pośrednictwem CEiDG. Jeśli w następnych latach podatnik będzie kontynuował wybrany w 2024 r. sposób opodatkowania, nie będzie musiał o tym fakcie informować skarbowki. Kontakt z administracją podatkową jest konieczny tylko przy chęci zmiany wybranej metody rozliczeń.

Ważne: dla zmiany formy opodatkowania wystarczy, że podatnik dokona aktualizacji odpowiednich informacji na formularzu CEiDG-1.

Decyzja należy do podatnika

Oczywiście to przedsiębiorca musi zdecydować, czy chce zmienić sposób opodatkowania. Do wyboru ma on bowiem kilka opcji, a to, która z nich będzie najkorzystniejsza, zależy będzie od kilku czynników. Wśród nich można wymienić m.in. wy-

sokość uzyskiwanych przychodów, wysokość ponoszonych wydatków firmowych i możliwość ich uwzględnienia w kosztach podatkowych, czy rodzaj prowadzonej firmy.

Przedsiębiorcy, którzy opłacają PIT, mają bowiem do wyboru rozliczenie na zasadach skali PIT. Ta może być korzystna, jeśli dochody podatnika nie przekraczają 120 tys. zł rocznie. Wówczas stawka PIT wynosi 12 proc. Gdy limit ten zostanie przekroczony, zastosowanie ma stawka 32 proc. Jednak przy rozliczeniach na zasadach skali PIT warto też pamiętać o konieczności płacenia 9-proc. stawki ZUS, co daje nam obciążenie należnościami publicznoprawnymi na po-

ziomie 21 proc. (jeśli musielibyśmy płacić PIT 12 proc. + 9 proc. składki ZUS). W takiej sytuacji warta rozważenia może być liniowa stawka PIT, która wynosi 19 proc. (plus 4,9 proc. składki ZUS, co w efekcie daje 23,9 proc. obciążenia). Warto też pamiętać, że przy zasadach ogólnych możliwe jest zastosowanie pewnych ulg i preferencji przewidzianych dla przedsiębiorców, np. ulgi IP Box.

Z kolei w przypadku, gdy przedsiębiorca ma niskie firmowe wydatki, a przepisy na to pozwolą, warto rozważyć opodatkowanie na zasadach ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych. Tu stawki podatkowe są znacznie niższe, ale nie ma opcji ujmowania ponoszonych wydatków w kosztach. Jeśli jednak wydatki te są

małe, to atrakcyjna stawka podatku (wysokość ryczałtu zależy m.in. od charakteru działalności podatnika i może być ona niższa niż 12 proc.) może być

To przedsiębiorca musi zdecydować, czy chce zmienić sposób opodatkowania. Do wyboru ma on bowiem kilka opcji, a to, która z nich będzie najkorzystniejsza, zależy będzie od kilku czynników.



znacznie bardziej atrakcyjna niż możliwość zaliczania wydatków do kosztów przy skali podatkowej czy liniowym PIT.

Ważne terminy

Przedsiębiorca, który zdecyduje się na zmianę formy opodatkowania, musi pamiętać o pewnych terminach wynikających z ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych. Zgodnie z art. 9a ust. 1 ustawy o PIT dochody uzyskane przez przedsiębiorców opodatkowane są na zasadach ogólnych (skala

podatkowa), chyba że podatnik złoży właściwemu naczelnikowi urzędu skarbowego pisemny wniosek lub oświadczenie o wyborze innej formy opodatkowania lub złoży wniosek CEiDG-1.

Przedsiębiorca ma możliwość zmiany sposobu opodatkowania na:

- skalę PIT, 19-proc. podatek liniowy lub ryczałt w terminie do 20. dnia miesiąca następującego po miesiącu, w którym podatnik osiągnął pierwszy w roku podatkowym przychód, albo do końca roku po-

datkowego, jeżeli pierwszy taki przychód został osiągnięty w grudniu roku podatkowego;

- na inne formy opodatkowania – w terminie do 20 stycznia, jeżeli w poprzednim roku podatnik opodatkowany był w formie karty podatkowej.

I na koniec kolejna ważna uwaga: jeśli podatnik spóźni się z powiadomieniem skarbowki i nie poinformuje o swoich planach w wyznaczonych przez przepisy terminach, kolejna zmiana będzie możliwa dopiero za rok. ■



Zamknięcie roku w firmie to proces wieloetapowy i czasochłonny

Aby zamknąć księgi pod kątem rachunkowym w sposób prawidłowy, kluczowe jest przeprowadzenie kilku etapów prac, do których zobowiązuje ustawa o rachunkowości. Poza inwentaryzacją mowa tu m.in. o niezbędnych wycenach czy oszacowaniu rezerw - mówi Edyta Kalińska, członek zarządu i partner zarządzająca Działem Rewizji Finansowej BDO. **Rozmawiała Ewa KONDERAK**

Koniec roku w każdej firmie to obowiązki związane m.in. z zakończeniem roku obrotowego. Przed sporządzeniem sprawozdania finansowego trzeba

ba wykonać wiele czynności. O jakich obowiązkach trzeba pamiętać? Załóżmy, że rok kalendarzowy pokrywa się z obrotowym.

Przełom roku to okres intensywnych prac w firmach, których rokiem obrotowym jest rok kalendarzowy. Jest wiele czynności, które zgodnie z ustawą

o rachunkowości powinny być wykonane w ramach procesu sporządzenia sprawozdania finansowego i zamykania ksiąg na koniec roku.

Na ostatni dzień każdego roku obrotowego zgodnie z art. 26 ustawy o rachunkowości należy przeprowadzić inwentaryzację aktywów. Zgodnie z art. 28 tej ustawy należy odpowiednio wycenić składniki aktywów i pasywów, w tym w walutach obcych, aby ująć je w sprawozdaniu we właściwej wartości. Jednostki sporządzające sprawozdania finansowe muszą

Na ostatni dzień każdego roku obrotowego należy przeprowadzić inwentaryzację aktywów. Zgodnie z ustawą o rachunkowości trzeba odpowiednio wycenić składniki aktywów i pasywów, aby ująć je w sprawozdaniu we właściwej wartości.

również ustalić wysokość kosztów i przychodów przypadających na dany okres sprawozdawczy, aby prawidłowo zaprezentować w rachunku zysków i strat wynik finansowy wypracowany w okresie sprawozdawczym. Aby ustalić wynik finansów netto, należy również skalkulować podatek dochodowy, a także inne obowiązkowe obciążenia wyniku finansowego.

Jednym z elementów kluczowych dla zamknięcia roku jest inwentaryzacja. Kiedy, jak i w jakim terminie powinna być przeprowadzona?

Inwentaryzacji można dokonać na różne sposoby. Aktywa na rachunkach bankowych przechowywane w innych jednostkach, w tym należności i pożyczki inwentaryzowane, są drogą potwierdzeń sald. Jeśli potwierdzenia wykazują niezgodności, należy je wyjaśnić.

Inne aktywa pieniężne, papiery wartościowe w postaci materialnej, rzeczowe składniki aktywów obrotowych, środki trwałe i nieruchomości inwentaryzuje się drogą spisu z natury. Następnie dokonuje się ich wyceny i porównuje te wartości z danymi ksiąg rachunkowych. Wszelkie różnice wyjaśnia się, a różnice rozlicza.

Środki trwałe, do których dostęp jest znacznie utrudniony, grunty i prawa zakwalifikowane do nieruchomości inwentaryzu-

je się drogą porównania danych ksiąg rachunkowych z odpowiednimi dokumentami i weryfikacji wartości tych składników. W podobny sposób należy zinventaryzować należności sporne i wątpliwe i z tytułów publicznoprawnych. Również inne aktywa i pasywa należy zinventaryzować w ten sposób, jeśli przeprowadzenie ich spisu z natury lub uzgodnienie z przyczyn uzasadnionych nie było możliwe.

Inwentaryzacją drogą spisu z natury obejmuje się również znajdujące się w jednostce składniki aktywów, będące własnością innych jednostek, powierzone jej do sprzedaży, przechowania, przetwarzania lub używania, powiadamiając te jednostki o wynikach spisu. Obowiązek ten nie dotyczy jednostek świadczących usługi pocztowe, transportowe, spedycyjne i składowania.

Inwentaryzację należy przeprowadzić według stanu na ostatni dzień każdego roku obrotowego, zgadza się?

Tak, jednak w świetle ustawy termin ten uważa się za dotrzymany, jeśli inwentaryzację składników aktywów – z wyłączeniem aktywów pieniężnych, papierów wartościowych, produktów w toku produkcji oraz materiałów, towarów i produktów gotowych – rozpoczęto nie wcześniej niż trzy miesiące przed końcem roku obrotowego, a zakończono do 15. dnia następnego roku, ustalenie zaś stanu nastąpiło przez dopisanie lub odpisanie od stanu stwierdzonego drogą spisu z natury lub potwierdzenia salda – przy-

chodów i rozchodów (zwiększeń i zmniejszeń), jakie nastąpiły między datą spisu lub potwierdzenia, a dniem ustalenia stanu wynikającego z ksiąg rachunkowych, przy czym stan wynikający z ksiąg rachunkowych nie może być ustalony po dniu bilansowym.

W przypadku zapasów materiałów, towarów, produktów gotowych i półproduktów znajdujących się w strzeżonych składowiskach i objętych ewidencją ilościowo-wartościową, inwentaryzację wystarczy przeprowadzić raz na dwa lata.

Raz na cztery lata należy przeprowadzić inwentaryzację środków trwałych, nieruchomości zaliczonych do środków trwałych oraz inwestycji oraz maszyn i urządzeń wchodzących w skład środków trwałych w budowie.

Zapasy towarów i materiałów (opakowań) objętych ewidencją wartościową w punktach obrotu detalicznego jednostki oraz drewna w jednostkach prowadzących gospodarkę leśną należy zinventaryzować raz w roku.

Kolejny etap to wycena aktywów i pasywów na dzień bilansowy. Na czym polega ten element prac do wykonania?

Na tym etapie należy się przyjrzeć aktywom i pasywom, które będą wykazane w sprawozdaniu finansowym pod ką-

tem prawidłowości ich wyceny. Ustawa o rachunkowości wskazuje, jak należy wycenić poszczególne kategorie aktywów i pasywów. Zgodnie z nią środki trwałe oraz wartości niematerialne i prawne wycenione są według cen nabycia lub kosztów wytworzenia lub wartości prze-

szacowanej (po aktualizacji wyceny środków trwałych), pomniejszonych o odpisy amortyzacyjne lub umorzeniowe, a także o odpisy z tytułu trwałej utraty wartości. Nieruchomości oraz wartości niematerialne i prawne zaliczane do inwestycji można wycenić również według ceny rynkowej bądź inaczej określonej wartości godziwej.

Zobowiązania wycenia się w kwocie wymagającej zapłaty, natomiast zobowiązania finansowe mogą być wyceniane według skorygowanej ceny nabycia, a jeśli przeznaczone są do sprzedaży w okresie do trzech miesięcy według wartości rynkowej lub inaczej określonej wartości godziwej. Aby zapewnić kompletność zobowiązań na dzień bilansowy, tworzone są rezerwy, które należy wykazać w uzasadnionej, wiarygodnie oszacowanej wartości. Zgodnie z art. 35b ustawy o rachunkowości rezerwy tworzy się przede wszystkim na pewne lub o dużym stopniu prawdopodobieństwa przyszłe zobowiązania, których kwotę można

w sposób wiarygodny oszacować, a w szczególności na straty z transakcji gospodarczych w toku, w tym z tytułu udzielonych gwarancji, poręczeń, operacji kredytowych, skutków toczącego się postępowania sądowego.

Właściwe oszacowanie rezerw może stanowić spore wyzwanie dla jednostek.

To prawda. W przypadku rezerw pracowniczych spółki często korzystają z usług aktuariuszy. W przypadku spraw sądowych, których skutki trudno jest ocenić, szczególnie w początkowej fazie postępowania, zarządy wspomagają się opiniami prawnymi przy określeniu kwoty, która powinna zostać ujęta w bilansie.

A jak postąpić, jeśli spółka ma aktywa i pasywa wyrażone w innej walucie niż złoty?

Jeśli jednostka posiada aktywa i pasywa wyrażone w walutach obcych zgodnie z art. 30 ustawy o rachunkowości należy je, nie rzadziej niż na dzień bilansowy, wycenić, aby w bilansie zaprezentować ich wartość w walucie polskiej. Składniki aktywów (z wyłączeniem udziałów w jednostkach podporządkowanych wycenianych metodą praw własności) i pasywów wycenia się po obowiązującym na dzień bilansowy średnim kursie ogłoszonym dla danej waluty przez Narodowy Bank Polski. Jeżeli aktywa i pasywa są wyrażone w walutach, dla których NBP nie ogłasza kursu, to kurs tych walut określa się w relacji do wskaza-

nej przez jednostkę waluty odniesienia, której kurs jest ogłoszony przez NBP.

Aby mogło powstać sprawozdanie finansowe, muszą zostać zamknięte księgi rachunkowe. Czy to prawda?

Zgodnie z art. 12 ustawy o rachunkowości księgi zamyka się na dzień kończący rok obrotowy. Przy sporządzeniu rocznego sprawozdania finansowego należy więc zamknąć księgi rachunkowe. Ważne jest, żeby księgi rzeczywiście zostały zamknięte po sporządzeniu i zatwierdzeniu sprawozdania finansowego, aby bezwzględnie nie było możliwości dokonania zmian w okresie, za który sporządzono sprawozdanie finansowe. Ewentualne błędy koryguje się wówczas w okresie bieżącym.

Czy w firmach, których sprawozdanie finansowe jest ba-

dane przez biegłego rewidenta, wszystkie te etapy są przez niego sprawdzane?

W przypadku objęcia sprawozdania finansowego badaniem wszystkie etapy sporządzenia sprawozdania finansowego przebiegają bardzo podobnie. Biegły rewident powinien uczestniczyć w spisie z natury zapasów, gdyż wymagają tego standardy badania. Należy o tym pamiętać, aby uniknąć zastrzeżenia w opinii. Po sporządzeniu wersji sprawozdania finansowego do badania nie zamyka się ksiąg rachunkowych, gdyż badanie przez biegłego rewidenta zwykle skutkuje korektami. Po badaniu sprawozdania finansowego biegły rewident przedstawia korekty, które jednostka ujmuje w księgach i sporządza ostatecznie sprawozdanie finansowe. Do tego sprawozdania biegły rewident wydaje sprawozdanie zawierające opinię. Następnie ostateczne sprawozdanie finansowe zbadane przez biegłego rewidenta jest zatwierdzane przez odpowiednie organy jednostki.

Choć badanie sprawozdania finansowego nie wpływa istotnie na sam proces jego sporządzenia, to związany jest z przygotowaniem licznych dokumentów i wyjaśnień. W toku badania biegły rewident pozyskuje dowody badania. Przedstawienie takich wewnętrznych dowodów bądź pomoc w pozyskaniu dowodów zewnętrznych (na przykład listów z banków lub od kancelarii prawnych) wymaga dodatkowej pracy ze strony służb księgowych i zarządów spółek. ■

Ważne, żeby księgi zostały zamknięte po sporządzeniu i zatwierdzeniu sprawozdania finansowego, aby bezwzględnie nie było możliwości dokonania zmian w okresie, za który sporządzono sprawozdanie finansowe.





Precyzyjna rewolucja sektora rolno-spożywczego

Początki rolnictwa sięgają neolitu. Ta forma „usidlenia natury” przeszła jednak niezwykle długą i wyboistą drogę - od prymitywnej uprawy ziemi, przez pierwsze formy organizacji zbiorów, aż do nowoczesnego i precyzyjnego modelu, który upowszechnia się dziś.

Jacek **PODGÓRSKI**

Zyjemy w czasach rolniczej rewolucji, której założenia kształtują metody nowoczesnego gospodarowania. Ważne są dziś dbałość o środowisko czy realizowanie etycznych modeli zachowań, takich jak zapewnienie dostaw żywności najbardziej niebezpiecznym regionom świata, ale – nie ma co się czarować – głównym celem zmian jest zwiększenie efektywności gospodarstw, co z kolei implikuje wyższe dochody – to o nie chodzi.

Nowoczesne rolnictwo

Rolnictwo 4.0 czy rolnictwo precyzyjne – bo terminy te wystę-

pują zazwyczaj wymiennie – to pewien paradygmat rolnictwa, który wykorzystuje zaawansowane technologie cyfrowe, sensoryczne i komunikacyjne w celu optymalizacji procesów produkcyjnych. Jest to pewien rodzaj miksu tradycyjnych praktyk rolniczych z innowacyjnymi rozwiązaniami, takimi jak internet rzeczy, sztuczna inteligencja czy analiza danych w oparciu o systemy geolokacyjne czy telemetryczne.

Dziś nikogo nie dziwi już wykorzystywanie w rolnictwie internetu rzeczy. Częstym widokiem są bowiem czujniki

umieszczone na polach, które zbierają dane na temat gleby, roślin, warunków atmosferycznych czy nawet maszyn rolniczych. Te informacje zostają następnie przesyłane do chmury, gdzie są analizowane w czasie rzeczywistym. Niebagatelne znaczenie mają także algorytmy oparte na sztucznej inteligencji, które przetwarzają ogromne ilości danych, dostarczając rolnikom precyzyjnych informacji dotyczących nawożenia, ochrony roślin, zarządzania uprawami i prognoz plonów.

Rolnictwo 4.0 to także wykorzystanie autonomicznych maszyn rolniczych, takich jak roboty do zbioru, siewu czy pielęgnacji upraw. Skomplikowane analizy danych prowadzone w oparciu o big data pozwalają na precyzyjne zrozumienie warunków wzrostu roślin, co

umożliwia dostosowanie praktyk uprawowych do konkretnych potrzeb. Wszystkie te narzędzia zwiększają efektywność pracy, redukując jednocześnie koszty. A o to przecież chodzi.

Rynek korzyści

Rolnictwo – w dobie jego dynamicznej profesjonalizacji – zachowuje się dziś tak jak każda inna gałąź gospodarki. Firmy sektora dążą do szukania rynkowych przewag, a najprostsza droga do nich płynie przez racjonalną optymalizację, której gwarantem jest właśnie precyzyjne planowanie działań w gospodarstwach.

To właśnie rolnictwo 4.0 pozwala na indywidualne podejście do każdego – w zasadzie – pola, uwzględniając specyficzne warunki i potrzeby roślin.

Dzięki analizie danych dotyczących gleby, wilgotności, temperatury i innych czynników rolnicy mogą precyzyjnie dostosować ilość wody i nawozów, eliminując kosztowne nadmiary, a przez to minimalizując straty. To z kolei prowadzi do zwiększenia efektywności produkcji, poprawy plonów i obniżenia kosztów.

Precyzyjne monitorowanie warunków wzrostu roślin umożliwia dostosowanie praktyk uprawowych do indywidualnych potrzeb każdej rośliny. To prowadzi do produkcji

Inwestowanie w nowoczesne technologie przyciąga uwagę konsumentów, którzy coraz bardziej cenią sobie transparentność produkcji, ekologiczne praktyki oraz wysoką jakość żywności.

plonów o wyższych parametrach jakościowych. Kontrolowane warunki wzrostu, odpowiednie nawożenie i ochrona roślin skierowana na konkretne zagrożenia przekładają się na produkty o lepszych walorach smakowych, wyższej wartości odżywczych i dłuższym okresie przechowywania. Automatyzacja procesów i zastosowanie algorytmów sztucznej inteligencji do analizy danych

precyzyjne zarządzanie zasobami skutkują z kolei znacznym obniżeniem kosztów produkcji. Optymalizacja działań pozwala na efektywniejsze wykorzystanie środków finansowych i zasobów ludzkich, co w rezultacie przekłada się na zwiększenie zysków dla rolników. Równocześnie minimalizacja marnotrawstwa surowców wpływa pozytywnie na bilans ekonomiczny.

Rolnictwo 4.0 nie tylko przyczynia się do zwiększenia efektywności produkcji, ale również pozytywnie wpływa na środowisko, co stanowi z kolei odpowiedź na wyzwania stawiane dziś przed gospodarstwami – szczególnie w Unii Europejskiej. Poprzez zredukowanie ilości używanych nawozów, pestycydów i wody rolnictwo precyzyjne minimalizuje negatywne skutki dla ekosystemów wodnych, gleby oraz dzikiej fauny i flory. To zrównoważone podejście

do produkcji żywności, które dba o długofalowy dobrostan środowiska naturalnego, a to – poza oczywistym wpisaniem się w nurt zrównoważonego rolnictwa – podoba się konsumentom i stanowi istotny walor marketingowy produktów.

Inwestowanie w nowoczesne technologie przyciąga uwagę konsumentów, którzy coraz bardziej cenią sobie transparentność produkcji, ekologiczne praktyki oraz wysoką jakość żywności. Rolnictwo 4.0 stanowi więc nie tylko korzyść ekonomiczną, ale również strategiczną dla przyszłości znacznej części sektora rolno-spożywczego.

Nie dla każdego

Znaczne rozdrobnienie polskich gospodarstw rolnych oraz brak – mimo zapowiedzi rządowych – ożywienia na rynku spółdzielczym sprawiają, że w praktyce na poważne inwestycje, których efektem jest dalece idąca, jak opisana, optymalizacja aktywności, pozwolić mogą sobie zaledwie nieliczni. Trudno przecież wymagać od rolnika gospodarującego na kilku hektarach, by przeznaczył znaczące kwoty na wdrożenie w gospodarstwie najnowszych rynkowych rozwiązań. Istnieją wprawdzie programy częściowo refundujące implementację takowych, ale wciąż jest to kropla w morzu potrzeb. Tym samym pogłębia się rynkowa przepaść między tymi, którzy na inwestycje pozwolić sobie mogą, a tymi, którzy – niestety – patrzeć będą na nie z zazdrością. ■

Czy samorządy udźwigną unijną dyrektywę?

Wymuszane przez Unię Europejską obowiązkowe remonty budynków mogą doprowadzić do katastrofy finansowej (a być może i wywłaszczeń) nie tylko prywatnych właścicieli domów, ale i coraz bardziej zadłużone samorządy. Tomasz CUKIERNIK

Unijna dyrektywa EPBD [Energy Performance of Buildings Directive] zakłada m.in. przymusowe remonty budynków. Już w 2030 r. zacznie obowiązywać zakaz sprzedaży i wynajmu nieruchomości niespełniających wymogów klas energetycznych, a do końca 2050 r. poza nielicznymi wyjątkami wszystkie budynki w UE mają być zeroemisyjne. To oznacza gigantyczny koszt dla prywatnych właścicieli, ale nie tylko. Z problemem będą musiały sobie poradzić także samorządy, które przecież są wielkim właścicielem nieruchomości w Polsce. Według ostrożnych szacunków koszt wdrożenia dyrektywy EPBD w Polsce wyniesie nawet 1,5 bln zł. To mniej więcej tyle ile półroczny PKB naszego kraju.

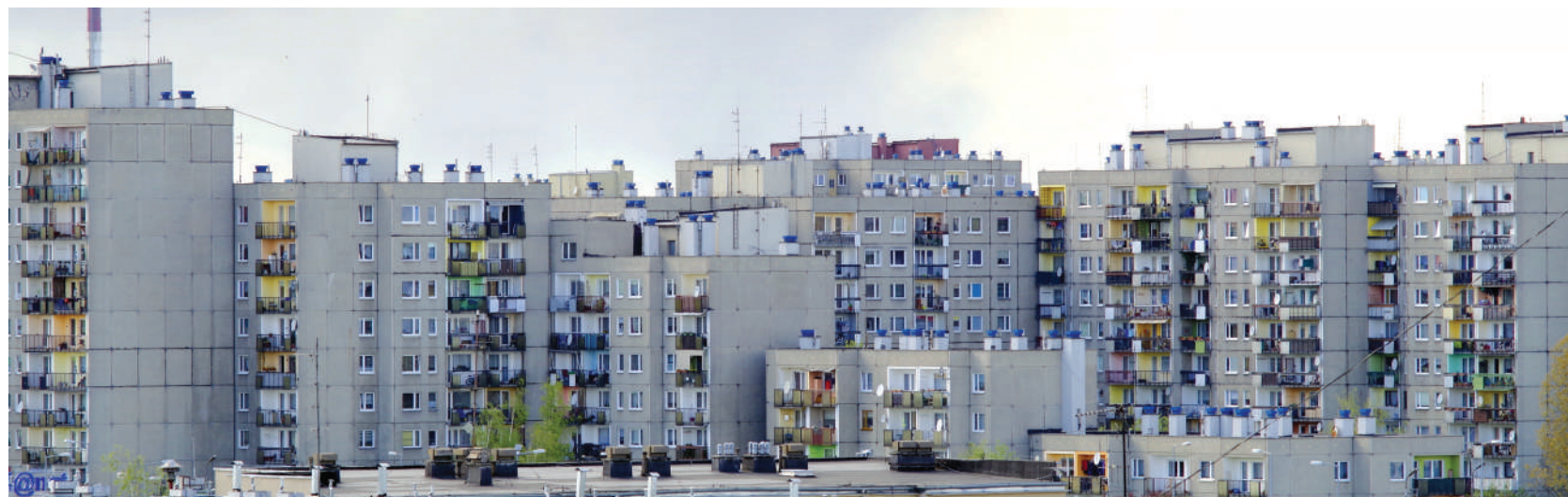
Plany klimatyczne

Urząd Miasta w 7-tysięcznym Miasteczku Śląskim wyliczył, że remont wszystkich 46 lokali socjalnych będzie kosztował budżet gminy ponad 9 mln zł (według cen z połowy 2023 r.).

W skali Miasteczka Śląskiego może to duża kwota, ale jedno-

częściej śmieszna w skali Warszawy. Otóż w Zielonej Wizji Warszawy, przyjętej w kwietniu 2023 r. przez Radę m.st. Warszawy, oszacowano niezbędne do poniesienia koszty w drodze do neutralności klimatycznej, w tym również w odniesieniu do termomodernizacji budynków. Koszty inwestycji w poprawienie efektywności budynków komunalnych, znajdujących się w zasobie miasta, zostały oszacowane na 917,6 mln zł dla budynków standardowych oraz 1948,5 mln zł dla budynków zabytkowych. Łącznie to niemal 2,9 mld zł. Szacunkowe koszty obliczono na podstawie cen wskaźnikowych z 2021 r. Są to inwestycje zaplanowane na najbliższe 20 lat i mogą być finansowane z różnych źródeł. Władze Warszawy planują m.in. wystąpienie z projektem do Europejskiego Banku Inwestycyjnego – inicjatywy ELENA (European Local ENergy Assistance), w ramach którego planowane jest przygotowanie do termomodernizacji budynków komunalnych na terenie miasta.

– „Fit for 55” jest jednym z wielu wymogów prowadzą-



cych w kierunku zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych. Zdajemy sobie sprawę, że dostosowanie do przepisów zarówno unijnych, jak i krajowych, w tym wynikających m.in. z ostrzeżonego rozporządzenia ministra infrastruktury w sprawie warunków technicznych, jakimi powinny odpowiadać budynki i ich usytuowanie, będzie wymagało wysokich nakładów finansowych – podkreśla Jakub Leduchowski, rzecznik prasowy Urzędu Miasta Stolecznego Warszawy.

Do tematu kompleksowo przygotowują się także samorządowcy Krakowa. Z informacji Wydziału Komunikacji Społecznej stolicy Małopolski wynika, że w związku z koniecznością przygotowania stolicy Małopolski do zobowiązań zawartych w pakiecie „Fit for 55”, realizacją zadań europejskiej misji 100 miast

neutralnych dla klimatu oraz innych planów związanych z neutralnością klimatyczną, obecnie miasto opracowuje tzw. Kontrakt Klimatyczny, w którym będzie zawarty plan transformacji oraz działania, jakie będzie należało zrealizować. Dane na temat budynków wymagających modernizacji oraz związanych z tym kosztów zostaną ujęte w opracowaniu „Plan działań na rzecz zrównoważonej energii i klimatu”, który obecnie jest w trakcie opracowania, i również zostaną zawarte w wyżej wymienionym Kontrakcie Klimatycznym. Sam Kontrakt Klimatyczny będzie obejmował szeroki zakres działań, które zostaną podjęte przez władze Krakowa. W jego skład wchodzić będzie zestaw działań strategicznych, planistycznych i inwestycyjnych, które pomogą określić ścieżkę do osiągnięcia neutralności

1,5 bln zł
według ostrożnych szacunków ma wynieść koszt wdrożenia dyrektywy EPBD w Polsce.

klimatycznej. Koniec tworzenia kontraktu zaplanowano na rok 2024.

Liczenie na... cud

Z dodatkowymi problemami wynikającymi z unijnej dyrektywy będą się zmagać nawet małe samorządy. W Miasteczku Śląskim sporo starych budynków (choć nie zabytkowych) znajduje się w strefie ochrony konserwatorskiej. Nie da się więc ich tak po prostu ocieplić styropianem i wrzucić panele na dach. Większość mieszkań socjalnych znajduje się właśnie w takich starych kamienicach.

– Temat jest skomplikowany i rządzący nami wariaci na pewno nie przewidzieli wszystkich konsekwencji. Remont starej kamienicy objętej nadzorem konserwatora to koszt idący już nie w setki tysięcy, ale w miliony złotych. Przy socjalnych czynszach zwróci nam się to za... tysiąc lat –

mówi Michał Skrzydło, burmistrz Miasteczka Śląskiego.

– Od nowa na pewno byłoby taniej, ale tych kamienic nie będzie można wyburzyć, bo naruszamy układ przestrzenny objęty ochroną. Jedyne sposoby, tak na szybko, to wybudować kontenery mieszkalne, przenieść tam dotychczasowych najemców socjalnych, a kamienice sprzedać za półdarmo. I liczyć na cud, że ktoś to kupi i wyremontuje – dodaje.

A długi samorządów rosną

Tymczasem zadłużenie samorządów rośnie. O ile wcześniej generowała je przede wszystkim realizacja projektów unijnych (biurokracja, współfinansowanie, a potem ich utrzymanie), o tyle ostatnio sytuację pogorszyły nakładane przez państwo na samorządy obowiązki i zmiany w PIT uszczuplające ich dochody. Z danych zebranych przez Fundację Wolności wynika, że rok do roku na koniec 2023 r. zadłużenie 18 największych polskich miast wzrosło o 8,9 mld zł.

Tę niezbyt chwalebny listę otwiera Kraków, gdzie w dwa lata zadłużenie wzrosło o ponad 2,3 mld zł. W Toruniu na koniec 2023 r. zadłużenie miało stanowić aż 88 proc. rocznych dochodów miasta, w Łodzi – 86 proc., a w Szczecinie – 84 proc. W 2023 r. najwięcej, bo aż 390 mln zł, na obsługę długów miały wydać władze Krakowa. W przypadku Warszawy jest to suma 342 mln zł. ■



Za patoekonomię władzy zapłaca przedsiębiorcy

Zarządzanie trzydziestoosmimilionowym krajem to jak kierowanie przeogromną, wielobranżową korporacją. Nie dziwny się, że osobom znanym nam z obecnej polityki niespecjalnie to wychodzi - mówi Krzysztof Oppenheim, ekspert finansowy i członek Zespołu Roboczego ds. Restrukturyzacji i Upadłości w Radzie Przedsiębiorców przy Rzeczniku MŚP. Rozmawiamy o bardzo niebezpiecznym trendzie dotyczącym rozdawania publicznych środków na prawo i lewo, który prowadzi w kierunku budżetowej demolki.

Rozmawiał **Krzysztof BUDKA**

Jak się Panu podoba program nowego rządu „Mieszkanie na start”? Jest lepszy od programu „Bezpieczny kredyt 2 procent”?

Jak może mi się podobać? Z budżetowej kasy dołtujemy horrendalne pieniądze – najzamożniejszym młodym Polakom – do zakupu przez nich nieruchomości. Określić taki pomysł mianem „chory” to niemal komplement. Co do porównania obydwu programów, już to zrobiłem w innej publikacji. Jeden ze śródtytułów tego opracowania brzmiał: „Pojedynek potworków: bawdziewie vs. chłtam”. Tu mogę tylko dodać, że przy tzw. „Bezpiecznym Kredycie 2 procent” można było uzyskać dopłatę na poziomie nawet 150–170 tys. zł. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że tych kredytów udzielonych zostało ponad 60 tys., to oznacza, że łączny koszt tego „wspaniałego” pomysłu poprzedniej ekipy rządzącej może wynieść ok. 10 mld zł! Na pewno jednak będzie to kwota niższa, bowiem część kredytowych dopłat będzie wypłacana krócej niż maksymalne 120 miesięcy.

Przyznaję, że miałem podobny odbiór. Pytam zresztą nie tylko dlatego. Otóż wydaje mi się, że ten program jak w soczewce pokazuje, że pod względem dyscypliny finan-

sowej nowa władza idzie śladami poprzedniej, tylko robi to jeszcze radykalniej. Na zasadzie „po nas choćby potop” jedyną formę pozyskiwania przychylności wyborców widzi w całkowitej demolce budżetu. Jest gdzieś kres tego szaleństwa?

Skoro sama demokracja w obecnej formie to szaleństwo, nie spodziewamy się żadnych zmian na lepsze. Przecież wybory do parlamentu to nic innego jak marna rozrywka dla mas, coś w rodzaju programu „Mam Talent”. O – ten ktoś jest fajny, więc przy jego nazwisku postawię krzyżyk. W efekcie skład Sejmu w większości przypomina przypadkową zbieraninę 460 osób, z których część to starzy, wielokrotnie skompro-

mitowani polityczni wyjadacze, a nowi to właśnie efekt wspomnianego, żalosnego talent show. Bez względu na to, jakimi pożytecznymi umiejętnościami dysponują kandydaci. I czy w ogóle jakimiś. W ten sposób może do Sejmu trafić np. 100 nauczycieli i nauczycielek, 100 aktorów i aktorek, kilku iluzjonistów, za to ani jeden ekonomista. Narzekać nie ma sensu, bo dzieje się tak nie tylko u nas. W 1987 r. do włoskiego parlamentu wybrano Ilonę Staller, znaną bardziej jako „Cicciolina” (czyli po polsku: „Cycusia”),

wówczas z zawodu wzięta aktorka filmów porno. Ale ta pani przynajmniej spełniła obietnicę wyborczą: wykąpała się całkiem nago – w blasku fleszy – w fontannie, w stolicy Italii. Potem, jako parlamentarzystka, czyli reprezentantka włoskiego narodu, „Cicciolina” oferowała Saddamowi Husajnowi seks w zamian za obietnicę pokoju w Zatoce Perskiej. Ale ten się nie skusił. Jak więc widzimy, nie ma kresu tego szaleństwa. I wszystko na tym polu może się zdarzyć.

Tym bardziej że do polityki zdecydowana większość osób idzie wyłącznie dla pieniędzy, nie tylko tych z diet poselskich... Wybierają się tam ci, którzy inną drogą – na przykład jako przedsiębiorcy – nie mają szans na przyzwoite dochody. Więc jeśli ktoś już w polityce „robi” zawodowo, a jego ugrupowaniu uda się wygrać wybory, wtedy zwycięzcy staną na głowie, aby jak najdłużej utrzymać się u władzy. „Jedynym celem władzy jest władza” – znamy tę prawdę choćby z Orwella.

W jaki sposób skomentuje Pan budżet zaproponowany przez rząd?

To, co obserwujemy obecnie, jest – niestety – odpryskiem pierwszego programu rozdawniczego na wielką skalę, czyli 500+. Prawo i Sprawiedliwość wstrzeliło się tym programem w dziesiątkę; mam tu na myśli wyłącznie cele polityczne. Inny program – który z kolei ja uważałem za znakomity – czyli Mieszkanie+, zakończył się po-

Nas, przedsiębiorców, nie da się tak łatwo oszukać. Co nieco się na ekonomii znamy, bo jeśli jest inaczej – długo na rynku się nie utrzymamy. Naszym marzeniem nie jest to, aby rząd nam pomógł. A jedynie, aby nam nie przeszkadzał.

rażką. Dlaczego? Bo nie wystarczyło w tym przypadku rozdać kasę, trzeba było sporo zrobić, aby ten program faktycznie przynosił efekty. Te tak różne doświadczenia skłoniły byłego premiera Mateusza Morawieckiego do kontynuowania sprawdzonych metody pozyskiwania przychylności wyborców, czyli rozdawania budżetowych środków na prawo i lewo. Apogeum osiągnęliśmy w roku wyborczym. Na przykład „kupowanie” głosów emerytów i rencistów kosztowało nas w ub. roku ok. 70 mld zł. Taki był koszt łączny 13-tek i 14-tek oraz waloryzacji. Nowa władza robi wielki raban o wybory kopertowe, a przecież to zaledwie jeden promil kwoty, jaka została wydana na kokiowanie seniorów. Z innych wielce kosztownych „prezentów” dla społeczeństwa była zapowiedź poprzedniej władzy programu „800+” na rok obecny, a jest to już koszt na poziomie 65 mld zł rocznie (500+ to budżetowy wydatek ok. 40 mld zł). Jak już wiemy, obecny premier Donald Tusk nie tylko nie zawrócił z tej samobójczej dla finansów publicznych drogi, ale jeszcze sporo dołożył od siebie. Mowa o podwyżkach dla nauczycieli i urzędników (koszt 15–20 mld zł w 2024 r.) oraz „babciowe”, które może obciążyć budżet nawet do 5 mld zł rocznie. W konsekwencji te niewymuszone wydatki – mowa tylko o tych, które przed chwilą wymieniałem – dają łączny koszt na poziomie 155 mld zł rocznie. A to stanowi prawie 23 proc. zakładanych budżetowych przychodów!

Analizując tak niewiarygodną rozrzutność poprzedniego i obecnego rządu, trudno uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Ale przecież przytacza Pan tylko oficjalne dane. Mimo to większość społeczeństwa nie ocenia tych działań nagannie. Dlaczego nie możemy dostrzec zagrożenia, jakie powodują te wszystkie plusy i inne programy socjalne?

Niemal każdy z Polaków może się na jakąś dopłatę załąpać, wtedy jest moment radości. Nie widzimy też problemu w dłuższej perspektywie: a przecież to tak oczywiste! Na nagrodę Nobla z ekonomii na pewno zasługuje ten, kto zajmie się pracą naukową na taki bardzo prosty temat: „Wszystko, co jest absurdem w ekonomii w skali mikro, jest takim samym absurdem w skali makro”. Przykład? Proszę sobie wyobrazić firmę rodzinną będącą na dużych minusach, w której nestor rodu i jednocześnie osoba zarządzająca tym podmiotem funduje pod choinkę każdemu członkowi rodziny nowy sportowy model mercedesa. Oczywiście w leasingu. Czy aby na pewno podczas takiej Wigilii „na bogato”, przy świątecznym stole zapanowałaby atmosfera powszechnego szczęścia? Czy może raczej obdarowani z przerażeniem uznaliby, że

Program, który akurat uważałem za znakomity, czyli Mieszkanie+, zakończył się porażką. Dlaczego? Bo nie wystarczyło w tym przypadku tylko rozdać kasę, ale trzeba było sporo zrobić, aby faktycznie przynosił on efekty.

taka hojność jest objawem poważnej choroby psychicznej darczyńcy?

Niestety, kupowanie głosów wyborców za pieniądze tychże wyborców to sposób nie nowy, ale wciąż bardzo skuteczny. Ale tak sobie myślę, że przecież obietnice wyborcze były skierowane również do przedsiębiorców: np. dobrowolny ZUS albo podwyższenie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł. Pozostały jednak w sferze obietnic. Po raz kolejny oka-



Fot. Tomasz Gzell/PAP

zuje się, że władza – jaka by nie była – nie traktuje poważnie tej grupy wyborców. Dlaczego?

Nas, przedsiębiorców, nie da się tak łatwo oszukać. Co nieco się na ekonomii znamy, bo jeśli jest inaczej – taki przedsiębiorca długo na rynku się nie utrzyma. Naszym marzeniem nie jest to, aby rząd nam pomógł. A jedynie, aby nam nie przeszkadzano. Pamięta pan pompatyczne zapowiedzi Polskiego Ładu? Wiemy, jak się skończyła ta „wspaniała” akcja autorska byłego premiera. Często się cytuje powiedzenie bodające z czasów Związku Radzieckiego: „Chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zawsze”. Skąd się to bierze? Właśnie z omawianego już tematu patodemokracji, kiedy najpoważniejsze sprawy kraju

Kto najwięcej zapłaci za tę całą patoekonomię i demolkę budżetu?

Tu sprawa jest prosta: zapłacą wszyscy, którzy uczciwie pracują, nie oczekując od rządu żadnych „darmowych obiadków” czy innych bogatych prezentów. Efektem będą: potężna inflacja – przed nią w żaden sposób się nie wybronimy, sięganie coraz głębiej do naszych kieszeni oraz widoczna wokół frustracja. Bo źle będzie większości z nas, walka o przeżycie kolejnego miesiąca bez zadłużania się będzie dotyczyć coraz większej grupy. I nie ma tu żadnych szans na odwrócenie tego trendu: to już widać po tak krótkim czasie od zmiany władzy w Polsce.

Czy państwo też może wpaść w pułapkę zadłużenia – tak jak konsument i przedsiębiorca?

To przecież jest oczywiste. Oto fragmenty publikacji z portalu rp.pl z ubiegłego roku: „Wydatki na obsługę długu Skarbu Państwa w 2022 r. sięgnęły 32,7 mld zł, co oznacza wzrost o niemal 7 mld zł, czyli 26 proc., w porównaniu z 2021 r. (...) Koszty obsługi długu w 2023 r. mogą podwoić się, sięgając nawet 66 mld zł (...) Z danych resortu finansów wynika, że w 2022 r. do spłaty przypadły papiery o wartości ok. 140 mld zł, w 2023 – kolejne 130 mld zł, a w 2024 – 180 mld zł. I spora część tego długu musi być zaciągnięta na nowo”. Przypomnijmy tu, że wpływy do budżetu planowane na ten rok to

„zaledwie” 682 mld zł. Z czego na samą ochronę zdrowia wydamy prawie 200 mld zł.

To może takie bankructwo państwa byłoby jedynym sposobem na opamiętanie się i zmianę mentalności większości społeczeństwa? Bo trudno mi sobie wyobrazić, by politycy w zdecydowanej większości sami z siebie „nawrócili” się na zdrowy rozsądek, jeśli chodzi o ekonomię.

Niestety, panie redaktorze, w tym szaleństwie nie ma metody. Myślę, że im będzie gorzej, tym ci ubożsi – a tych przecież jest większość – będą jeszcze bardziej liczyć na rządową pomoc. Ale żeby nie kończyć tak pesymistycznie, sądzę, że na pewno sporo na plus dla naszej gospodarki wniosłyby dwa wydarzenia. Po pierwsze: rozpad Unii Europejskiej, co pozwoliłoby nam, przedsiębiorcom na zajęcie się dziedzinami, które będą tego konsekwencją. Powstałoby wtedy wiele stanowisk pracy, nowych

podmiotów, znacząco wzrósłby PKB, a nasi politycy przestaliby się tłumaczyć ze swoich głupot, mówiąc, że to „Unia tak im kazała”. Drugi moment zwrotny, który dałby potężny impuls naszej gospodarce, to opracowanie i wdrożenie prawdziwego, sensownego programu rozwoju mieszkalnictwa. Ale na zupełnie innych zasadach, niż miało to miejsce do tej pory. Nie chodzi więc zupełnie o to, aby premiować najbogatszych Polaków sutymi dopłatami, wspierając przy tym głównie deweloperów i banki.

Czy wierzy Pan w taki cud? Raczej nie wynika to z treści naszej rozmowy...

Zdradzę panu tajemnicę: taki program, oparty na łatwo dostępnym kredycie hipo-

Za patoekonomię zapłacą wszyscy, którzy uczciwie pracują, nie oczekując od rządu żadnych „darmowych obiadków”. Efektem będą: potężna inflacja, sięganie coraz głębiej do naszych kieszeni oraz widoczna wokół frustracja.

tecznym, już powstał. Na razie w mojej głowie. Wkrótce przełożę tę koncepcję na formę piśmienną. Na razie pokrótce o zasadach tego programu: beneficjentem będzie każdy Polak posiadający zdolność kredytową, przy czym raty będą znacznie niższe niż w przypadku standardowego kredytu hipotecznego. Nikt nikomu nie będzie dopłacał. Kredyt będzie bezpieczny (nie tylko z nazwy), zarówno dla kredytobiorcy, jak i dla banku. Na dodatek ten „wynalazek” jest prosty jak drut.

Brzmi interesująco. Czy sądzi Pan, że jakieś ugrupowanie zainteresuje się tym pomysłem?

Szansa na to jest mała, ale czemu nie spróbować? Byłoby bardzo ciekawie, gdyby na przykład projekt ustawy oparty na tej koncepcji trafił do Sejmu, ale z ramienia opozycji. Wtedy będą procedowane przez parlamentarzystów dwie ustawy z tej samej dziedziny, tą drugą byłby właśnie rządowy program dopłat do kredytów „Mieszkanie na Start”. Byłby to naprawdę świetny happening, coś jak na przykład walka Mike’a Tysona z... przedszkolakiem. Wkrótce przedstawię opis tego programu – w pierwszej kolejności trafi on do Czytelników portalu „Forum Polskiej Gospodarki”, czyli FPG24.PL. ■



Piotr Palutkiewicz



Nie zgrzeszmy zaniebdaniem

Coraz mniej gotówki w codziennym obrocie. Nie piszę tutaj o bazie monetarnej, ale o papierowych banknotach i metalowych monetach, które jeszcze kilkanaście lat temu były standardem w naszych kieszeniach i kasach sklepowych. Dziś codzienne płatności są zastępowane w naturalny sposób przez płatności kartą, telefonem czy w większych kwotach przelewami. I nie byłoby w tym zjawisku nic godnego krytyki. Wręcz przeciwnie. Wygoda i szybkość płatności jest tym, co obywatele cenią. Problem pojawia się zawsze w tym samym momencie: gdy do gry wkracza rząd! Od ruchowo trzeba złapać się za portfel.

Obecnie firmy w naszym kraju nie mogą dokonać transakcji gotówkowej powyżej 15 tys. zł brutto. Pamiętajmy jednak, że technokratyczne i niebezpieczne (choć to powinny być synonimy) pomysły rodzą się nie tylko w Warszawie. Jest jeszcze Bruksela. Tam trwają już prace nad ograniczeniem transakcji gotówkowych powyżej 10 tys. euro. Z naturalną możliwością obniżenia tego limitu przez kraj członkowski.

W demokratycznym systemie pomysł by nie przeszedł, co potwierdza polski przypadek. Badania także. W nich nasi rodacy potwierdzają, że chcą mieć w portfelach gotówkę i są przeciwko wprowadzaniu jakichkolwiek zakazów i limitów w tym temacie. Ale nie takie pomysły wbrew woli obywateli wprowadzono.

Po co to wszystko? Władzom każdorazowo rzekomo chodzi o przeciwdziałanie praniu pieniędzy. Problem tylko z dowodami. Badania pokazują, że ograniczenie gotówki nie likwiduje, a nawet nie zmniejsza poziomu

szarej strefy w gospodarce. Pranie pieniędzy odbywa się dziś poprzez kryptowaluty czy dzieła sztuki, a gdy ktoś chce dokonać transakcji gotówką pochodzącą z nielegalnego źródła, to i tak dokona jej ponad ustawowy limit.

Sam fiskus ma dziś szereg narzędzi w postaci drogich i rozbudowanych systemów informatycznych służących do kontrolowania szczelności i uczciwości ob-

rotu. A mimo to rządowi strasznie ta gotówka nie leży. W Polsce przez lata nie było jednak problemów z luką VAT. Do dziś specjalnie nie walczy się z nieszczelnością CIT, nikogo nie boli też szara strefa hazardu online. Sygnalizowane miliardowe nieszczelności w budżecie państwa z powyższych przykładów jakoś nie mobilizują władzy zarówno poprzedniej, jak i obecnej do interwencji. Łatwiej walczyć z gotówką w naszych kieszeniach. Może więc nie o szczelność systemu chodzi? A gdy nie wiadomo, o co chodzi... No tak, w tym wypadku nie da się ukryć, że chodzi o pieniądze. O pieniądze dużych korporacji – banków i emitentów kart płatniczych.

Uderzenie w gotówkę to jednak nie tylko uderzenie w nasze kieszenie z tytułu opłat i prowizji na rzecz instytucji finansowych. To także podkopanie fundamentów naszej wolności i prywatności. A ruchów w tym zakresie na poziomie europejskim ostatnio zbyt wiele. Walka z mową nienawiści, dezinformacją, gotówką. To już nie są tylko dyrektywy zmieniające nasz styl życia, ale niebezpiecznie krążące koło naszej prywatności i wolności gospodarowania myślą, słowem i uczynkiem. To nie teoria spiskowa. To tylko mój skromny apel o czujność. Nie zgrzeszmy tutaj zaniebdaniem.

Uderzenie w gotówkę to nie tylko uderzenie w nasze kieszenie z tytułu opłat i prowizji na rzecz instytucji finansowych. To także podkopanie fundamentów naszej wolności i prywatności.

Miejsce w elitarnym gronie na wyciągnięcie ręki?

Powraca postulat dopisania Polski do G20. Popieram. Ale zastanówmy się, co możemy zrobić, żeby oprócz znalezienia się w tym gronie, być jeszcze jego istotnym udziałowcem.

Marcin CHMIELOWSKI

G20 to coroczne spotkanie reprezentantów 19 państw, przedstawicieli Unii Europejskiej i od 2024 r. także Unii Afrykańskiej. Celem jest omówienie najważniejszych kwestii dotyczących stosunków gospodarczych w kontekście globalnym.

Elitarny klub

Ale najpierw kontekst. Żyjemy w tzw. ciekawych czasach i nie powinny nas dziwić różne możliwości, jakie się dzięki temu pojawiają. Dotyczy to zarówno jednostek, jak i ich zbiorowości. Polska wśród 20 najważniejszych gospodarek świata to właśnie ten przypadek, kiedy to dawniej mało prawdopodobna sytuacja wydaje się być na wyciągnięcie ręki.

G20 to również jeden z tych elitarnych klubów dla polityków, który jest posądzany o sterowanie światem. To oczywiście nieprawda, rzeczywistość społeczna, polityczna i gospodarcza jest tak bardzo skomplikowana i narażona na tak duże zupełnie losowe czynniki, że zwyczajnie nie da się tego zrobić i szukanie jakichś centrów sterujących, w dodatku decyzyjnie wydających, pozwalających

osiągać zamierzone efekty, jest nadużyciem rozumu. Przesadną wiarą w moc centralnego planisty. I choć oczywiście nie przekonam do mojej tezy zwolenników teorii spiskowych, to jakoś łatwiej będzie mi do końca potoczył ten artykuł z właśnie tą konstatacją. Że G20 to na pewno ważne miejsce, że lepiej tam być, niż nie być, ale jednocześnie: są inne, ważne miejsca i często bardziej niepozorne. Zdolności pozwalające znaleźć

się w interesującym mnie w tym tekście gremium wykowane są bowiem poza nim, w niepozornej przestrzeni rodzimej gospodarki.

Nowy argument

Postulat obecności Polski przy stole znowu powraca z kilku względów. Po pierwsze, z uwagi na umacnianie się kursu złotego do dolara i osłabianie się tureckiej liry pojawia się nowy argument za Polską. Po drugie, przeganiamy przecież Argentynę, która jest w G20, a my nie. Po trzecie, to, że w spotkaniach mają brać udział przedstawiciele 20 podmiotów, nie jest jakimś spiszowym prawem. Za sprawą

dołączenia do obrad Unii Afrykańskiej będzie ich już 21.

Argument za Polską, uzupełniający te powyższe i podnoszony jeszcze przez Lecha Kaczyńskiego, jest przekonujący w kontekście istotności, a niekoniecznie wagi gospodarczej naszego wkładu. Polska jako reprezentant Europy Środkowo-Wschodniej i największa gospodarka tego obszaru powinna mieć miejsce na spotkaniach. Trochę na tej samej zasadzie, na

Nasz dotychczasowy wzrost był oparty przede wszystkim o niesamowicie przedsiębiorczych ludzi, nasz kapitalizm wykuwał się na bazarach i straganach, ale wymaga on dalszego rozwoju. Bo bez niego się rozpadnie.

jakiej mają je wspomniana już Argentyna lub Arabia Saudyjska, ponieważ reprezentująca świat arabski. Oczywiście, żeby faktycznie – celowo użyję najbardziej polskiego słowa – zatłoczyć coś dla naszego regionu, najpierw musimy z nim być dobrze dogadani. A nie zawsze jesteśmy. Dobre stosunki z Litwą, która nawet nie ma trzech milionów mieszkańców, i pomoc Ukrainie – to za mało.

Dodatkowa karta

Kontekst Europy Centralnej i Europy Środkowo-Wschodniej (tak naprawdę nie są to zupełnie nakładające się na siebie obszary) jest tu prawdopodobnie najbardziej istotny. Jesteśmy bowiem tradycyjnym zerowiskiem Rosji. Które obecnie ma się już jednak jak i czym bronić. Dobre usieciwienie międzynarodowe też jest elementem takiej obrony, wejście Polski do grupy, w której już jest Rosja, i siedzenie przy stole z państwem od nas większym, ale też jednoznacznie nam wrogim, dokłada nam na rękę dodatkową, dobrą kartę. A że w G20 mamy też sojuszników, być może będziemy umieli ją rozegrać.

Właśnie dlatego odrzucalbym myślenie polegające na tym, że Polska nie powinna się mieszać do wielkiej polityki. Niestety, wielka polityka miesza się do nas. I to nawet na poziomie konkretnych ludzi – nas, Polaków. Kryzys humanitarny, jaki wspólnie i oddolnie udało nam się rozbroić, a wywołany przez Rosję i powodujący napływ do nas mieszkańców Ukrainy, to tylko najbardziej widoczny przykład. Oczywiście obecność w gronie G20 jeszcze nie będzie oznaczać, że dostaniemy narzędzie do radzenia sobie z różnymi problemami. Tak się nie stanie. Ale nasz głos i nasze opinie będą lepiej słyszane.



foto: Kay Nietfeld/DPA/PAP

szane. A narracja na temat osobliwej historii naszej części Europy musi być słyszana przede wszystkim tam, gdzie jest więcej pieniędzy i wszelkich innych zasobów niż u nas.

Wielkim problemem, od Helsinek do Kijowa, jest to, o czym śpiewa zespół Laibach. Konkretnie w utworze „Slovania” na płycie „Volk”. Rzecz jasna muzycy w swoim utworze odnoszą się tylko do Słowian, a sam utwór to propozycja ich nieformalnego hymnu. Jeśli jednak chcielibyśmy rozszerzyć jego przesłanie również na niestowiańskie narody naszej części świata, to nadal chodziłoby o to że:

*We stand alone in history
Facing east in sacrifice*

Musimy ograniczyć samotność i nie mierzyć się ze wschodem wiecznie samemu, naszymi wyjątkowo przecież ograniczonymi siłami. Szukamy lewarów i G20 to właśnie jeden z nich. Choć jak wszystko na tym świecie – niedoskonały. Ale też osobliwie istotny dla naszej polityki wewnętrznej. Wejście do G20 to jeden z tych postulatów, który mogą poprzeć właściwie wszyscy.

Globalny sukces

Tyle że, tu wracam do problematyki międzynarodowej, tak jak my mamy prawo czegoś oczekiwać od klubu, do którego pragniemy się zapisać, tak samo klub może chcieć czegoś od nas. I żeby być jego poważnym, a nie tylko papierowym uczestnikiem, powinniśmy coś przynieść do stołu. Jasne, naj-

nowsza historia gospodarcza Polski, nasze ostatnie 30 lat, to sukces na miarę globalną. Do tego omawiane już położenie i szansa, jeśli będziemy umieli ją zagospodarować, na bycie rzecznikiem naszej części Europy. Ale jednocześnie szanse na nasz dalszy wzrost są poważnie podminowane i możemy stać się drugą Argentyną. To państwo też kiedyś rozwijało się fenomenalnie, następnie przysłała peronistyczna ekonomiczna wielka smuta trwająca właściwie do teraz i niszcząca w nie mniejszym stopniu niż realny socjalizm (historyk myśli ekonomicznej byłby zresztą w stanie łatwo wskazać na podobieństwa w księżycowej ekonomii peronistów i etatystów z PRL-u). Nasz dotychczasowy wzrost był oparty przede wszystkim o niesamowicie przedsiębiorczych ludzi, nasz kapitalizm wykuwał się na bazarach i straganach, ale wymaga on dalszego rozwoju. Bo bez niego się rozpadnie.

Siła gospodarcza

Tymczasem nasze wydatki inwestycyjne spadają, a najlepszym źródłem do umiejscawiania nadwyżek finansowych przez tych, którzy je mają, są nieruchomości. To fatalna sytuacja. Nie tylko z punktu wi-

żenia rynku mieszkaniowego, ale też naszego rozwoju, bo pieniądze nie trafiają na giełdę, nie są wydawane na innowacje, zamieniają się w żelbet, a to ma przełożenie na marazm, pompujemy bowiem wspólnie rynek dóbr podstawowych, które nagle stały się też rynkiem inwestycyjnym.

W skali jednostek jest to do zrozumienia. Ale w skali makro odpowiedzialni za to ludzie, wybrani przez nas politycy, powinni ułatwiać inwestowanie pozwalające na nabieranie przez nas rozpędu, zlikwidować choćby podatek Belki (to dopiero punkt pierwszy, takich punktów powinno być dużo więcej) i sprawić, że włożenie pieniędzy w rozwój polskich przedsiębiorstw będzie się bardziej opłacać niż inwestowanie w kłitki na wynajem.

Bo nie chodzi tylko o to, czy teraz, w tym roku, kolejnym, w najbliższym czasie, Polska wejdzie do G20. Chciałbym, żebyśmy się tam znaleźli. Ale chodzi też i o to, i tego również bym bardzo chciał, aby za 10 czy 20 lat nikt nie próbował nas stamtąd przegonić. Musimy mieć argumenty, aby być ważnym członkiem klubu. Jeśli w klubie chodzi przede wszystkim o siłę gospodarczą: to powinniśmy ją rozwijać. ■

Polska jako reprezentant Europy Środkowo-Wschodniej i największa gospodarka tego obszaru powinna mieć miejsce w G20. Trochę na takiej zasadzie, na jakiej mają je Argentyna lub Arabia Saudyjska, ponieważ reprezentująca świat arabski.

Łukasz Warzecha



Plastik - zabójca małych żółwi

Jednym z elementów współczesnej polityki są kompletnie bezmyślne i działające na zasadzie owczego pędu trendy. Indoktrynowanie mas nigdy nie było tak łatwe jak dzisiaj, więc tego typu hasła szybko stają się dla wielu elementem pakietu ich tożsamości. Elementem, nad którym się oczywiście nie zastanawiają i którego nie analizują.

Za takimi trendami stoją oczywiście interesy polityczne albo gospodarcze, ale dobrze schowane. Stoi także często przerażająca ideologia. Klimatyzm jest najważniejszym takim trendem, właściwie już quasi-religią, ale ma on też różne swoje elementy składowe. Jednym z nich jest wojna z plastikiem. Wynalazek, który zrewolucjonizował – na korzyść! – wiele dziedzin życia kilkadziesiąt lat temu, dzisiaj stał się przedmiotem rytualnych potępień. Plastik jest zły, bo gdzieś tysiące kilometrów stąd sfotografowano wiele lat temu żółwia morskiego z plastikową stómką wbitą w nos. I dlatego Europa musi się w większości plastiku pozbyć.

Wiara, że kolejna uciążliwa regulacja, wprowadzana w UE, oczyści oceany z „plastikowych wysp” oraz da przykład krajom takim jak Chiny, Indie czy cała Afryka, jak należy się zachowywać – jest najczyściej zabobonna. To nie europejski plastik pływa po oceanach świata.

Mamy jednak dyrektywę unijną z 2018 r., która ma realizować ten zabobon. Nie znamy żadnych szacunków dotyczących skutków przyjmowanej regulacji. Nie wiemy, jak te straszne śmieci wyglądają w liczbach bezwzględnych ani jaką stanowią część globalnego plastikowego śmieciaka. Nie dowiemy się, co konkretnie zmieni europejskie

ustawodawstwo w skali globalnej. Dowiadujemy się natomiast, że celem jest, aby Europa miała „wiodącą rolę”. Nie muszę chyba przypominać, z jakich czasów wystąpienia, pełne ideologicznego żaru, brzmiały podobnie.

Oczywiście za tym wszystkim stoją pieniądze. Ubiegłoroczna ustawa z kwietnia, której konsekwencje odczuwamy od 1 stycznia tego roku, a kolejne wejdą w życie od

Ideologicznie uzasadniane regulacje nieodmiennie skrywają konkretne interesy finansowe. Łatwiej jest po cichu wylobbować sobie centralny zakaz dla rywali, niż konkurować ze swoim produktem na rynku.

lipca, wprowadza opłaty, a mówiąc wprost – podatki. I to niemate. Od każdego jednorazowego opakowania spożywczego płacimy 25 gr. Oczywiście my – konsumenci. Jasne jest, że to opodatkowanie zostaje przerzucone właśnie na nas. Od lipca znikną ze sprzedaży plastikowe patyczki higieniczne, jednorazowe opakowania na napoje czy jedzenie, a nawet balony na plastikowych patyczkach.

Czemu ma to służyć? Ładnie mówi się: zmianie nawyków. Mówiąc zaś wprost, tresurze ludzi. To tak zwane bodźcowanie, uwielbiane przez paternalistów. Klasyczne naprawianie świata, które zawsze kończy się źle.

Pójdą za tym oczywiście konkretne skutki ekonomiczne. Ileś osób w firmach, które produkowały tego typu opakowa-

nia, straci pracę. Niektóre biznesy, gdzie plastik jest nieodzowny jako opakowanie, będą mieć problemy. Wzrost cen podtrzyma inflację. Ale być może ktoś na tym przecież zarobi. Ideologicznie uzasadniane regulacje nieodmiennie skrywają konkretne interesy finansowe. Łatwiej jest po cichu wylobbować sobie centralny zakaz dla rywali, niż konkurować ze swoim produktem na rynku.

Cywilizacje, jak wiadomo, żyją w schemacie sinusoidy. Ta europejska jest obecnie coraz bliżej swojego perygeum.

Tajwański węzeł wciąż zaciśnięty

Zwycięzca wyborów prezydenckich na Tajwanie Lai Ching-te (w środku) zapowiada kontynuację polityki wyspy o antychińskim obliczu.



fot. Daniel Ceng/EPA/PAP

Wybory w jednym z dalekich krajów azjatyckich mogłyby się wydawać nic nieznaczące. Jednak jeśli chodzi o Tajwan, przyglądał się im cały świat. Nic dziwnego, bo stawka tamtejszych wyborów prezydenckich i parlamentarnych była bardzo wysoka.

Konrad RAJCA

Dla świata najważniejszy jest stosunek nowego prezydenta wyspy do Chin i Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z przewidywaniami zwycięzcą wyścigu prezydenckiego został kandydat rządzącej Demokratycznej Partii Postępu (DPP) Lai Ching-te, dotychczasowy wiceprezydent, co oznacza kontynuację polityki wyspy o antychińskim obliczu. Opozycja, preferująca łagodzenie relacji z Chinami, zyskała jednak w wyborach parlamentarnych mocniejszą pozycję, pozbawiając partię rządzącą większości.

Jednocześnie Tajwan jest sojusznikiem USA i demokracją wspieraną militarnie przez Amerykę, która nie może sobie pozwolić na wchłonięcie wyspy przez CHRL, co osłabiłoby jej pozycję w świecie. Mimo mocnego wsparcia dyplomatycznego i gospodarczego USA oraz wielu krajów zachodnich oficjalne relacje dyplomatyczne z Republiką Chińską na Tajwanie utrzymuje obecnie 12 państw świata, co nie zmienia faktu, że pozycja i podmiotowość wyspy w świecie faktycznie rosną.

Stracie dwóch wizji

Strategiczne znaczenie Tajwanu sprawia, że tamtejsze wybory obserwował cały świat. Starty się tam dwie wizje dotyczące przyszłości wyspy i relacji z Chinami. Jedna, zdecydowanie ostrzejsza wobec Chin, reprezentowana przez rządzącą od dwóch kadencji centrolewicową i antychińską Demokratyczną Partię Postępu (DPP) i druga, łagodniejsza, preferowana przez dwie partie opozycyjne: Partię Narodową – Kuomintang (KMT) oraz Tajwańską Partię Ludową (TPP), nową trzecią siłą, popularną wśród młodziży. KMT jest dzieckiem Czang Kaj-Szeka, który w 1949 r. zbiegł na wyspę po przegranej woj-

Punkt zapalny

Tajwan (oficjalnie Republika Chińska na Tajwanie) to jeden z największych potencjalnych punktów zapalnych świata i kluczowy światowy producent chipów, bez których nie może funkcjonować współczesny świat. Przez Chińską Republikę Ludową (CHRL) wyspa uznawana jest za część Chin (podobnie jak oficjalnie Republika Chińska na Tajwanie uznaje zwierzchność nad kontynentem). Zjednoczenie (lub przyłączenie wyspy) CHRL uznaje ze jeden z kluczowych celów swojej polityki zagranicznej i ważny punkt honoru, nie wykluczając w tym celu działań zbrojnych.

nie domowej na kontynencie wraz ze swoimi sojusznikami i utworzył funkcjonującą do dziś Republikę Chińską na Tajwanie ze stolicą w Tajpej. Stawką wyborów były więc przyszłe relacje z komunistycznymi Chinami. W wyścigu liczyło się trzech głównych kandydatów: Lai Ching-te (DPP), Hou You-yi (KMT) i Ko Wen-je (TPP).

Lai, dotychczasowy wiceprezydent u boku prezydenta wyspy Pani Tsai Ing-wen, zapowiadał kontynuację, czyli wzmacnianie podmiotowości i tożsamości demokratycznej Tajwanu w świecie. Mówił w kampanii, że jeśli zostanie wybrany, to utrzyma status quo w Cieśninie Tajwańskiej i będzie „dążył do pokoju siłą”, pozostając otwarty na współpracę z Pekinem „pod warunkiem wstępnym równości i godności”. Odcinał się jednak od postulatu ogłoszenia niepodległości przez Tajwan. Chiny nazywają go jednak „separatystą i wicherzycielem” i zerwały jakikolwiek dialog z obecnym rządem wyspy.

Lai podkreślał także konieczność zachowania niezależnej polityki wyspy i nieuleganie naciskom chińskim, które nasiliły się w czasie kampanii. Pekin wprowadził m.in. embargo eksportowe dla wielu tajwańskich produktów i intensywniej naruszał przestrzeń powietrzną i morską wyspy (nieuznawanej przez Pekin). Rząd Tajwanu oskarżał Chiny także o bezprecedensową ingerencję w wybory, która miała wpłynąć na wynik głosowania na korzyść kandydatów preferowanych przez Pekin. Chiński prezydent Xi Jinping zapowiedział po-



fol. Wiktor Dąbkowski/PAP

nownie w przededniu wyborów, że zdecydowanie uniemożliwi komukolwiek „oddzielenie Tajwanu od Chin w jakikolwiek sposób”.

Między wojną a pokojem

Opozycyjni kandydaci z KMT i TPP opowiadali się z kolei za poprawą relacji z Chinami, łagodnie zarządzanie obecną, trudną sytuacją i unikanie konfrontacji, która może grozić wybuchem konfliktu w Cieśninie, na czym stracą wszyscy. Podkreślali związek Tajwanu z kontynentem, ale jednocześnie znaczenie jego odrębności ustrojowej (krytykowali m.in. politykę CHRL wobec Hongkongu). Próbowali jednak przekonać wyborców, że głosowanie to wybór między wojną a pokojem. Twierdzili, że eksponowanie przez rządzących zarzutów dotyczących ingeren-

Wybory prezydenckie, jak i parlamentarne na Tajwanie miały ogromne znaczenie dla przyszłości wyspy, nic więc dziwnego, że wzbudziły ogromne emocje wśród mieszkańców Tajpej.

cji Chin w wybory to „brudny chwyt” mający na celu zdobycie poparcia.

Swoje propozycje dla Tajwanu przedstawiały także same Chiny, zachęcając go do integracji gospodarczej. Opublikowały plany mające na celu wsparcie chińskiej prowincji Fujian we wschodnich Chinach (w sąsiedztwie Tajwanu).

Miałyby one pobudzić współpracę gospodarczą i handlową między regionem Fujian a Tajwanem – od handlu usługami i małych przedsiębiorstw do klastrów przemysłowych zaawansowanych technologii.

Kontynuacja?

Wynik wyborów pokazał, że Tajwańcy chcą kontynuacji, jednak sytuacja nie wydaje się tak optymistyczna, jak pokazuje większość komentarzy. Zwyciężył Lai, zdobywając ok. 40 proc.

głosów, a jego kontrkandydaci z KMT – 33 proc. i TPP 26 proc.

Sukces rządzących nie byłby jednak możliwy, gdyby został zrealizowany plan sojuszu partii opozycyjnych, który jeszcze miesiąc przed wyborami wydawał się realny. Wystawienie jednego kandydata przez opozycję (prezentującą dość podobny program w odniesieniu do Chin) z dużym prawdopodobieństwem spowodowałoby zwycięstwo jej kandydata. Do zjednoczenia jednak nie doszło, a kandydaci opozycji publicznie, przed kamerami, pokłócili się na wspólnej konferencji prasowej. Wybory prezydenckie na Tajwanie mają jedną turę i przy podziale opozycji zwycięstwo któregoś z jej kandydatów od początku było mało realne.

To, że zjednoczenie opozycji mogło przynieść jej zwycięstwo w walce o prezydenturę, pokazuje wynik odbywających się w tym samym czasie wyborów do tamtejszego parlamentu Yuan, w których partia rządząca poniosła porażkę, tracąc 10 miejsc i większość w 113-osobowej izbie. Opozycja uzyskała większość. Na wyspie obowiązuje jednak system półprezydencki, gdzie premiera powołuje prezydent. Brak większości w parlamencie może jednak utrudniać działania legislacyjne rządu.

Analitycy Bloomberg Economics wyliczyli, że scenariusz, w którym doszłoby do chińskiej inwazji na Tajwan oraz wciągnięcia USA w starcia zbrojne, kosztowałby gospodarkę świata 10 bln dolarów. To o 4 bln dolarów więcej niż pandemia COVID-19!

Gigantyczny koszt

Obecnie Republika Chińska (Tajwan) i Chińska Republika Ludowa są ze sobą już mocno związane gospodarczo. Tajwańska nadwyżka w handlu z Chinami kontynentalnymi wyniosła w 2023 r. aż 80,5 mld dolarów. ChRL była odbiorcą 35 proc. tajwańskiego eksportu. W latach 1981–2022 tajwańskie firmy za-

inwestowały w Chinach kontynentalnych łącznie 203 mld dolarów i stworzyły tam wiele milionów miejsc pracy. Ewentualna wojna w Cieśninie byłaby także potwornie kosztowna dla gospodarki globalnej. Analitycy Bloomberg Economics wyliczyli, że scenariusz, w którym doszłoby do chińskiej inwazji na tę wyspę oraz wciągnięcia USA w starcia zbrojne, kosztowałby gospodarkę świata 10 bln dolarów. Czyli o jakieś 4 bln dolarów więcej niż pandemia COVID-19.

Sam Tajwan mógłby stracić co najmniej 40 proc. swojego PKB, Chiny kontynentalne 16,7 proc., a USA 6,7 proc. Praktycznie zerwane zostałyby łańcuchy dostaw łączące Azję Wschodnią z Europą i Ameryką. Scenariusz mówiący natomiast o rocznej morskiej blokadzie Tajwanu przez chińską marynarkę wojenną przewidywałby straty dla gospodarki globalnej wynoszące około 5 bln dolarów.

Spadek PKB Tajwanu wyniósłby 12,2 proc., ChRL 8,9 proc., a USA 3,3 proc.

Chwilowa odwilż

Powiązania gospodarcze nie gwarantują jednak stabilności. Większość ekspertów amerykańskich i tajwańskich zajmujących się sytuacją w Cieśninie w ankiecie Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS) stwierdziła, że kryzys jest tam w tym roku prawdopodobny, a za najbardziej możliwy scenariusz uważa się chińską blokadę lub „kwarantannę” wyspy. Większość z nich stwierdziła, że Chiny mają możliwości przeprowadzenia blokady Tajwanu, ale mniej osób wierzy, że zdecydują się na bezpośrednią inwazję.

Na sytuację w Cieśninie ogromny wpływ mają relacje chińsko-amerykańskie, które obecnie znajdują się w stanie chwilowej odwilży. Chiny zajmują się same sobą, próbując obudzić się z pocovidowego gospodarczego letargu. Kosztowny bezpośredni konflikt nie wydaje być się w ich interesie. Pogorszenie sytuacji gospodarczej w kraju może jednak zachęcić władze do mobilizacji społecznej wokół kwestii Tajwanu. Z kolei po drugiej stronie Pacyfiku coraz większe szanse na prezydenturę ma Donald Trump, który niedawno w jednym z wywiadów zasugerował, że USA mogą nie przyjąć z pomocą Tajwanowi wobec działań chińskich. Oskarżył wyspę o odebranie Ameryce przemysłu chipowego. ■

Polak, który dokonał rewolucji w kolejnictwie

Był wielkim patriotą i człowiekiem wielu talentów - wynalazcą, poliglotą i językoznawcą. Z równą pasją podchodził do pracy lingwistycznej, jak i do wynalazków, których opatentował aż 17. Wynalazł gazomierz, urządzenie do kopiowania listów i maszynę księgową do kontrolowania rachunków, jednak prawdziwą rewolucję uczyniły jego wynalazki związane z kolejnictwem.

Jarostaw MAŃKA

Dziś, kiedy po latach zapadła kolej w naszym kraju ponownie przeżywa renesans, warto przypomnieć Polaka, któremu pojazdy na żelaznych szynach zawdzięczają bardzo, bardzo dużo. Jan Józef Baranowski urodził się w 1805 r. w Śmiłowiczach na Mińszczyźnie (dzisiejsza Białoruś), w szlacheckiej rodzinie Marcina i Maryanny (z Szalkiewiczów) Baranowskich herbu Grzymała. Już od małego wychowywany był w patriotycznym duchu. Rodzice zadbałi też o gruntowne wykształcenie syna, który edukację rozpoczął w konwikcie szlacheckim prowadzonym przez księży misjonarzy z klasztoru w Śmiłowiczach.

Dalszą naukę kontynuował w gimnazjum klasycznym w Mińsku, a potem na wydziale matematyczno-fizycznym na Uniwersytecie Wileńskim (założonym przez króla Stefana Batorego). Po ukończeniu nauk ścisłych (1825 r.) postanowił zdobyć także wiedzę humanistyczną na wydziale prawnym tejże uczelni. Naukę

zakończył w 1828 r., uzyskując stopień kandydata.

Z banku do powstania

Jak wiemy z historii, studenci na Uniwersytecie Wileńskim (wśród których był też nasz wieszcz Adam Mickiewicz) spiskowali przeciwko carowi. Nic jednak nie wiemy o tym, jak spiskowanie przeciwko zaborcy wpłynęło na Jana Józefa Baranowskiego, ale bez wątpienia będąc studentem, młody szlachcic musiał zastanawiać się nad losem swojej Ojczyzny.

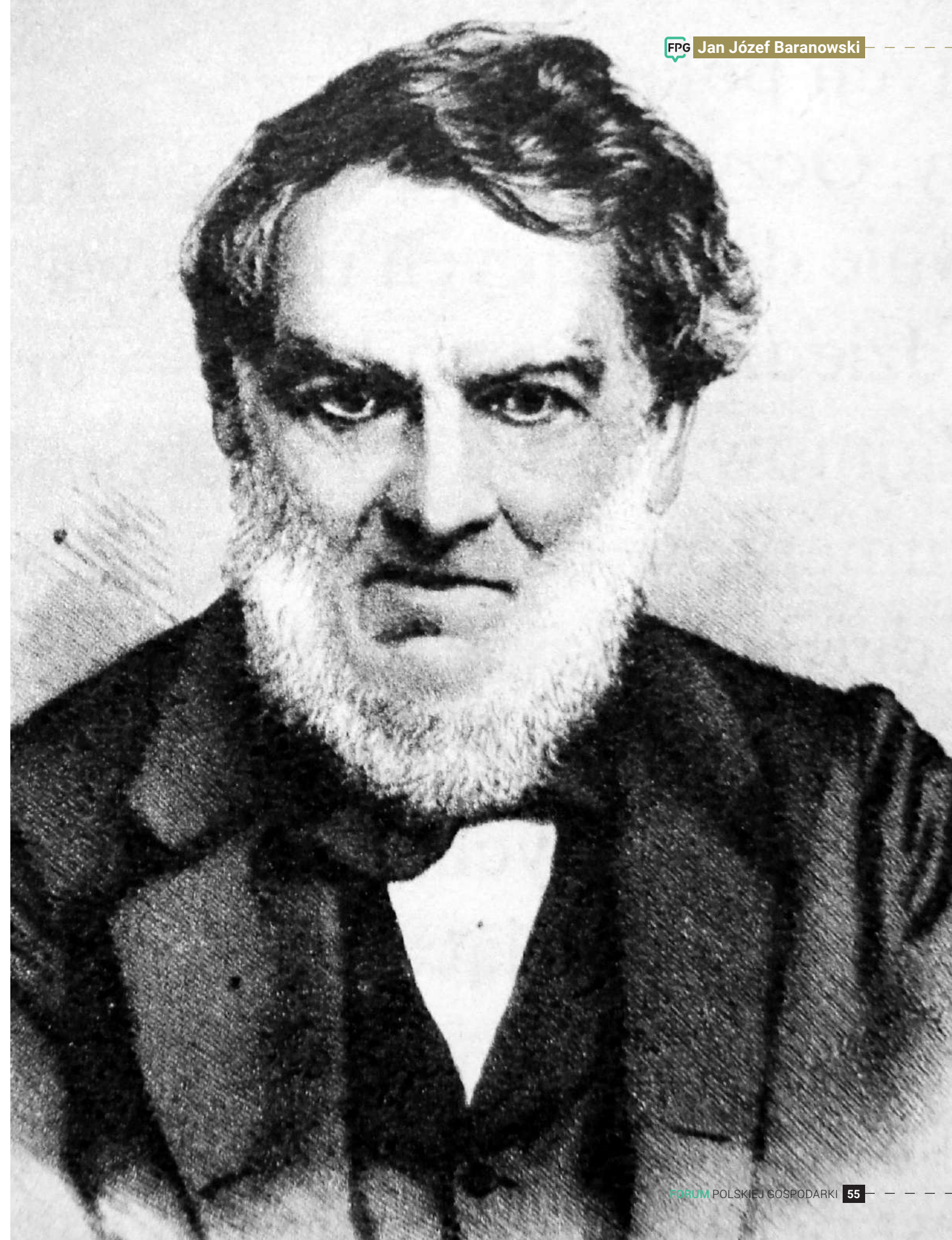
Po ukończeniu studiów Baranowski znalazł się wśród tych szczęśliwców, którzy dostali dobrą pracę. W wieku 23 lat zdobył posadę w biurze korespondencji zagranicznej Banku Polskiego. Nie zagrzał jednak długo miejsca na swojej

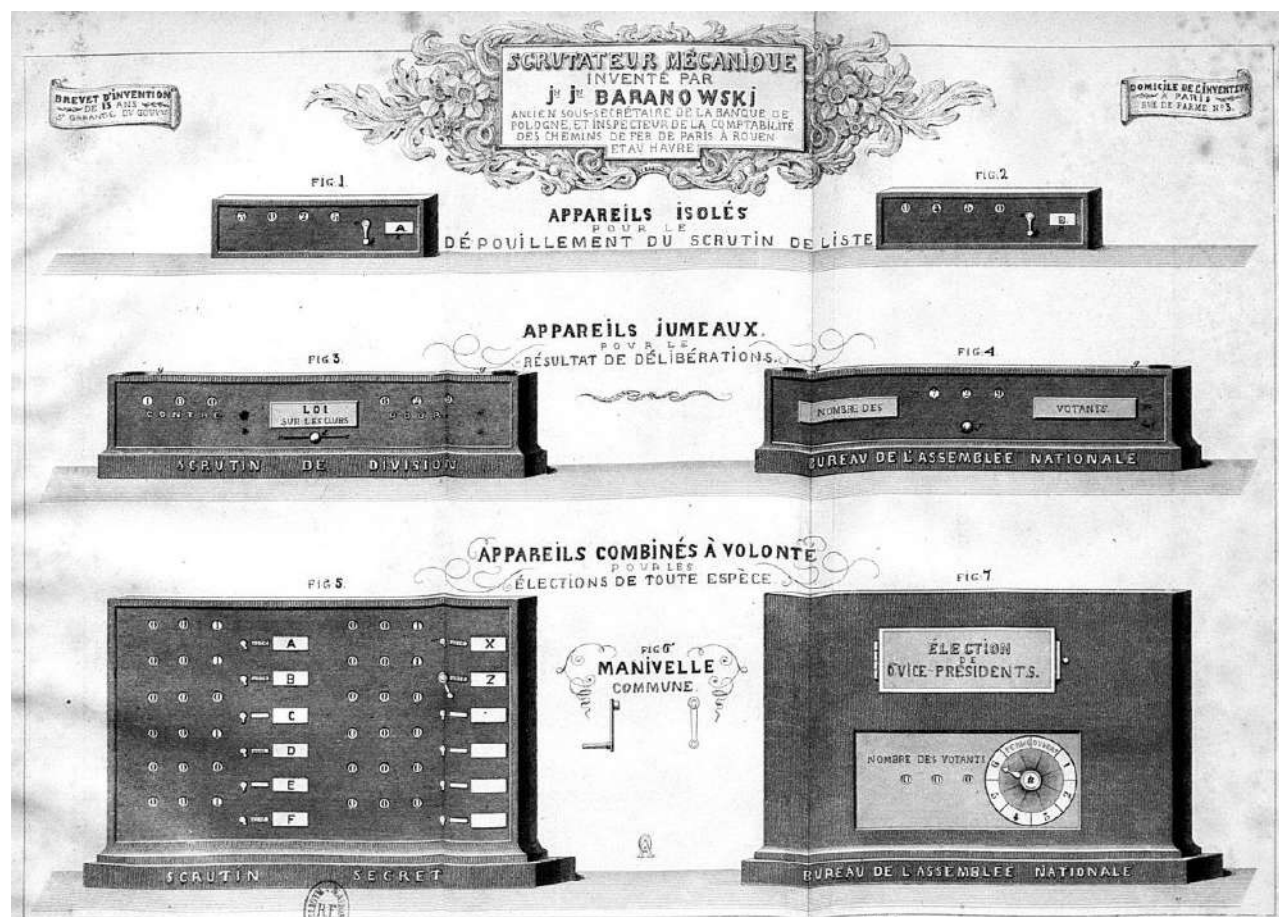
pierwszej, dobrze płatnej posadzie. Kiedy wybuchło powstanie listopadowe natychmiast zgłosił się jako ochotnik do armii, by

walczyć o wolność i niepodległość swojego kraju. Baranowski służył w korpusie gidów (przewodników), a następnie w 5 pułku ułanów. Niestety nie miał szczęścia do dowódcy. Jego oddział wchodził w skład sił gen. Girolama Ramorina, który wykazywał się wielką niesubordynacją i wręcz tchórzostwem. Pod koniec powstania Ramorino, miast wykorzystać dobrą sytuację na polu bitwy,

zachował się asekuracyjnie: postanowił wycofać się do Galicji i złożyć broń przed Austriakami, gdzie też został internowany (za podobną niesubordynację w 1840 r. gen. Ramorino zo-

Jan Józef Baranowski pierwszy raz został oficjalnie doceniony w 1849 r., kiedy to za maszynę do kontroli rachunków – tzw. *tax machine* – uzyskał medal francuskiego Towarzystwa Zachęty do Wynalazczości na Wystawie Krajowej w Paryżu.





stał osądzony i skazany na karę śmierci).

Wielka Emigracja

Po upadku powstania Baranowski podzielił los tysięcy towarzyszy broni, zasilając szeregi Wielkiej Emigracji. Przyszły wynalazca trafił do Francji. Od 1832 r. próbował układać sobie życie w kraju nad Loarą i Sekwaną. Mieszkał kolejno w kilku miastach: na początku trafił do Gray, a następnie do Lyonu i Chalonsur-Saône. Na francuskiej ziemi nie zaznał biedy. Dzięki swojemu wykształceniu nie miał problemów ze znalezieniem pracy – we Francji także pracował jako bankowiec, ale znajdował również zatrudnienie jako handlowiec w domach towarowych.

W 1837 r. postanowił przenieść się do Paryża, gdzie udało mu się dostać posadę księgowego i kasjera w banku Jelski, Dusard et Compagnie. Gdy bank w 1843 r. zakończył swoją działalność, Baranowski z miejsca został zatrudniony jako inspektor rachuby towarzystwa kolejowego Paryż–Rouen–Hawr. Okazało się, że zmiana pracy była wielkim impulsem, który obudził w emigrancie uśpione dotąd talenty.

Tax machine i gazomierz

Pracując w towarzystwie kolejowym na stanowisku inspektora rachuby, Baranowski postanowił ułatwić sobie życie i opracował rewolucyjny system tzw. podwójnej buchalterii (który de facto był już gotowy w 1842 r., gdy jesz-

cze pracował w banku). Jak się okazało, Polak usprawnił pracę nie tylko sobie. Po wysokiej ocenie ekspertów system ten zaczęły kolejno wdrażać wszystkie francuskie towarzystwa kolejowe. O nikomu nieznanym dotąd Polaku zaczęło być głośno. Ten sukces wyzwolił w nim niezwykłą kreatywność, która zaowocowała wręcz lawiną wynalazków. Baranowski poświęcał im tak dużo czasu, że w 1848 r. postanowił zając się tą pasją w stu procentach – zwolnił się z intratnej posady w towarzystwie kolejowym i zaczął wymyślać i konstruować.

Efekty przyszły już po roku. Jan Józef Baranowski pierwszy raz został oficjalnie doceniony w 1849 r., kiedy to za maszynę do kontroli rachunków – tzw. tax

machine – uzyskał medal francuskiego Towarzystwa Zachęty do Wynalazczości na Wystawie Krajowej w Paryżu. Wkrótce potem wymyślił kasownik biletów kolejowych, który został doceniony medalem Ministerstwa Robót Publicznych. Jak się okazało, konstrukcja kasownika Baranowskiego była tak prosta i funkcjonalna, że cały świat korzystał z niej przez 150 lat.

Niebawem o prostych i użytecznych wynalazkach Baranowskiego zaczęło być głośno nie tylko we Francji. W 1851 r. na Wystawie Powszechnej w Londynie wynalazca zaprezentował pomysłową maszynę do druku i kontroli biletów kolejowych, która umożliwiała wydrukowanie nawet 5 tys. biletów w ciągu godziny. Co więcej, każdy bilet opatrzone był numerem seryjnym. Za ten wynalazek Baranowski został uhonorowany kolejnym medalem, ale na tym nie koniec. Na wystawie zaprezentował również wynalazek, któ-

Segnale Baranowski robił prawdziwą furorę. Wynalazkowi bacznie przyglądała się francuska prasa, która po tym, jak semafor sprawdził się w pracy, okrzyknęła naszego rodaka „ojcem wynalazczości kolejowej”.

ry jest używany na świecie do dziś: był to przyrząd służący do obliczania objętości przepływającego gazu, który nazwał gazomierzem. Ponadto zwiedzający wystawę mogli zobaczyć kolejne dwa wynalazki Polaka: maszynę liczącą na bieżąco, która nadawała się do wszelkich operacji rachunkowych, oraz urządzenie do mechanicznego liczenia głosów wyborczych. Pomysłowość, funkcjonalność i liczba wynalaz-

ków zadziwiła ekspertów, jednak – jak się okazało – dla Baranowskiego była to jedynie rozgrzewka.

Ojciec wynalazczości kolejowej

Bez wątpienia najstynniejszym wynalazkiem Jana Józefa Baranowskiego był semafor, nazywany wówczas Segnale Baranowski, wynaleziony przez niego w 1857 r. Był to mechaniczny system sygnalizacji kolejowej, uruchamiany automatycznie przez jadący pociąg. Powodował on ustawienie się ostrzegawczej tarczy informującej maszynistę innego

pociągu, że wjeżdża na tor, na którym jest już inny pojazd. Po raz pierwszy zastosowano taki semafor jeszcze w tym samym roku, na linii Paryż–Rouen.

Eksperci uznali ten wynalazek za wręcz rewolucyjny, ale zbyt kosztowny. Dlatego od razu zaczęto pracować nad jego zmodyfikowaną i tańszą wersją. Prace postępowały bardzo

szybko, bo już w listopadzie 1857 r. zainstalowano nową wersję Segnale Baranowski na linii Paryż–St. Germain, w pobliżu stacji Nanterre. Próby trwały przez kilka miesięcy i wypadły nader pomyślnie, podobnie jak następne, z jeszcze bardziej udoskonalonym semaforem umieszczonym na linii Paryż–Strasburg, w pobliżu stacji Chelles, gdzie pociągi rozwijały znaczną prędkość (80 km/h).

Wynalazkowi polskiego emigranta bacznie przyglądała się francuska prasa, która po tym, jak semafor sprawdził się w pracy, okrzyknęła naszego rodaka „ojcem wynalazczości kolejowej”. Trzeba podkreślić, że wiek XIX miał to do siebie, iż wynalazcy i odkrywcy byli prawdziwymi celebrytami. I takim stał się też nasz rodak.

Międzynarodowa kariera

Wynalazek Baranowskiego wywołał prawdziwą sensację. Zaczęły go używać kolejne europejskie kraje. W 1858 r. Segnale Baranowski testowano na linii kolejowej Turyn–Genua. Mechanizm świetnie się sprawdził, toteż nic dziwnego, że wkrótce na kolejnej linii (Paryż–Bruksela) zainstalowano aż kilkanaście takich urządzeń. Semafor wypróbowano także w Anglii na odcinku Hackney–Kingsland, jednak – ku zdziwieniu samego Baranowskiego – tym razem nie zadziałał. Jak się wkrótce okazało, niektórzy kolejarze (w Anglii, ale też we Francji) niszczyli semafony w obawie przed utratą pracy, nie licząc się z tym, że chroniły pasażerów.

„Wynalazek ten jest tym ważniejszy, że ma na celu nie tę czy ową korzyść w ludzkim życiu społecznym, ale ocalenie od okropnej śmierci tysięcy i milionów ofiar z powodu kolizji pociągów dróg żelaznych w różnych krajach” – pisał Baranowski.

Ostatecznie jednak funkcjonalność semafora zwyciężyła także i sabotażystów – od 1862 r., to jest od czasu Wystawy Światowej w Londynie, urzą-

dzenie zaczęło być powszechnie stosowane także w Anglii. Warto dodać, że w późniejszym czasie rozwiązania oparte na pomysśle polskiego wynalazcy, według którego przejazd pociągu miał powodować podniesienie na jakiś czas ostrzegawczej tarczy, stosowano lokalnie na rozmaitych liniach kolejowych, m.in. warszawsko-wiedeńskiej. O znaczeniu wynalazku niech świadczy fakt, że po kilku kolejnych unowocześnieniach semafor stosowany jest na całym świecie do dziś.

Pomysł na spłatę reparacji

Jan Józef Baranowski był człowiekiem wielu talentów i jego działalność nie ograniczała się tylko do techniki. Kiedy Francja, po przegranej wojnie, została zmuszona przez kanclerza Otto von Bismarcka do zapłacenia państwu pruskiemu ogromnej kontrybucji, Polak opracował nowatorski projekt tych spłat, który 11 marca 1871 r. oficjalnie przedstawił francuskiemu ministrowi finansów. Według tego pomysłu plan spłat kontrybucji wojennych zakładał nie tylko spłaty w gotówce, ale również w towarach luksusowych oraz usługach, które Francuzi mieli wyświadczyć Berlinowi, a które miały być odpowiednio wycenione (np. prace architektów czy urbanistów).

Taka forma została zaakceptowana i wdrożona, jednak bez jakiegokolwiek gratyfikacji dla pomysłodawcy. Nasz rodak poczuł się oszukany przez nowy republikański rząd i postanowił na zawsze opuścić Francję. Tym razem jego celem był Londyn, gdzie rozgoryczony Baranow-

ski przeniósł się w 1872 r. W stolicy Anglii skromnie zgodził się pracować na stanowisku sekretarza miejscowego Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski. Była to słabo płatna posada, jednak Baranowski krzywdy nie dał sobie zrobić. Będąc poliglotą i mając dużo wolnego czasu, postanowił poświęcić się opracowywaniu słowników. Jego „Vademecum de la langue française” opublikowane w 1879 r. zostało przyjęte bardzo przychylnie i w Anglii, i we Francji. Rok później opracował podręcznik „The Student's Anglo-Polish



„Wynalazek ten jest tym ważniejszy, że ma na celu nie tę czy ową korzyść w ludzkim życiu społecznym, ale ocalenie od okropnej śmierci tysięcy i milionów ofiar z powodu kolizji pociągów dróg żelaznych w różnych krajach” – pisał o semaforze Baranowski.

Grammar” dla Anglików pragnących się nauczyć języka polskiego, a w 1884 r. wydał pierwszy nowoczesny słownik angielsko-polski „Anglo-Polish Lexicon”. Opracował również słowniki pojęć inżynierskich.

Nie zapomniał o rodakach. Miał przyjacielski kontakt korespondencyjny z Józefem Ignacym Kraszewskim, z którym zresztą konsultował się podczas prac nad słownikiem angielsko-polskim, a który rekomendował słownik na łamach warszawskiego wydawnictwa „Kłosa”. Starał się też pomóc innemu polskiemu wynalazcy – mieszkającemu w Rosji Aleksandrowi Ostrzeniewskiemu, reklamując w Anglii jego projekt siłowni pływowej.

Pamięć o dziedzictwie

Pod koniec życia Jan Józef Baranowski zadbał też, by pamięć o jego dziedzictwie była znana Polakom – przestał wiele publikacji o swoich wynalazkach wraz z innymi papierami osobistymi lwowskiemu Ossolineum, a dzięki swojemu przyjacielowi (Kraszewskiemu) na łamach „Kłosów” ukazał się o nim obszerny artykuł wraz z portretem.

Najwybitniejszy wynalazca Wielkiej Emigracji zmarł 30 marca 1888 r. w Londynie. Wielka szkoda, że dzisiaj w Polsce jest to postać praktycznie nieznaną. ■

Bartosz Tomczyk

przewodniczący
Rady Nadzorczej
Honey Payment

Co nas czeka na rynkach w 2024 roku?

W globalnej układance finansowej analitycy przewidują obniżki stóp procentowych zarówno w USA, jak i w strefie euro. Według większości ekspertów to będzie najważniejszy czynnik kształtujący globalną politykę monetarną, która będzie miała wpływ na portfele zwykłych obywateli w 2024 r. Wątpliwości budzi jedynie kwestia tego, kto jako pierwszy podejmie te kroki.

Rozgrywka toczy się więc o pierwszeństwo i tempo cięć zainicjowanych przez Fed i Europejski Bank Centralny. Potyczka między nimi będzie osiłą rozważań inwestorów, ale warto zadać sobie pytanie o konsekwencje dla rynków kapitałowych. Już w tej chwili są one mocno rozgrzane (np. historyczne rekordy niemieckiego DAXa), dlatego nie można wykluczać głębszej korekty i to mimo korzystnego otoczenia obniżek kosztu kredytu. Krótko mówiąc, w tej chwili najważniejsze karty pozostają w rękach bankierów centralnych.

Ogromny wpływ na to, co wydarzy się w tym roku na rynkach finansowych, mieć będzie także sytuacja na Ukrainie, która nadal pozostaje nierozwiązana. Rosnąca przewaga Rosji może być dużym obciążeniem m.in. dla złotego, natomiast widoki na pewnego rodzaju rozejm i zamrożenie konfliktu mogą stać się sporą szansą dla naszej rodzimej waluty.

A co z inflacją? W tym przypadku instytucje prognozujące są dosyć zgodne – w tym roku ma ona wynieść ok. 6 proc. Nie zmienia to faktu, że prognoza inflacji w naszym kraju cały czas obciążona jest sporym ryzykiem regulacyjnym. Wiele zależy od tempa wygaszania wszelakich tarcz. Są więc tacy, którzy w optymistycznym scenariuszu zakładają poziom 4 proc., ale i tacy, którzy w gorszym przewidują inflację na poziomie ponad 7 proc. Ważną kwestią pozostaje napięty rynek pracy, gdzie presja na wzrost wynagrodzeń pozostaje duża, dodatkowa odbudowująca się konsumpcja

może tworzyć przestrzeń do zwiększenia presji inflacyjnej. I tego musimy być świadomi.

Ważnym aspektem kształtującym rynek finansowy będzie też wysokość stóp procentowych. Na pierwszy rzut oka przestrzeń do obniżek tych stóp wydaje się ograniczona. Jednak ewentualne decyzje z najważniejszych światowych banków centralnych mogą w jakimś stopniu wpłynąć na dalsze obniżki w Polsce. Niemniej zdecydowana większość analityków zakłada, że jeżeli nastąpią jakiegokolwiek ruchy na stopach procentowych, będą one w wysokości 25 punktów bazowych i raczej będą występować pojedynczo – jedna na początku roku oraz kolejna pod koniec roku.

Na koniec znów musimy wrócić do globalnej polityki. Tym bardziej że przed nami intensywny rok obfitujący w wiele wydarzeń, które mogą znacznie wpłynąć na rynki. Chodzi m.in. o zaplanowane wybory prezydenckie w USA, które mogą budzić niepewność zwłaszcza w kontekście potencjalnych zmian w polityce zagranicznej. Decyzje bankierów centralnych odnośnie stóp procentowych będą kluczem dla kształtowania się globalnych rynków finansowych. Poza tym jak zawsze może wyniknąć coś nieprzewidywalnego na linii Chiny-Tajwan, szczególnie w kontekście niedawnych wyborów prezydenckich właśnie na Tajwanie.

Jak to ujmują analitycy, ostatnie lata powinny nas już przyzwyczaić, że w każdej chwili może nadlecieć „czarny łabędź”, który wywróci stół. Analizując prognozy rynkowe na 2024 r. przedstawione przez różnych ekspertów, trudno nie zauważyć różnorodnych scenariuszy i perspektyw dla globalnych i lokalnych rynków finansowych. Podsumowując, predykcje sugerują, że ten rok będzie okresem zmienności, zależnej od decyzji banków centralnych, sytuacji geopolitycznej oraz kształtowania się inflacji. Mocna pozycja lokalnej waluty może stanowić pewne wsparcie dla rynku finansowego.



**FINANSE, PODATKI,
BIZNES I INNOWACJE**

W JEDNEJ NOWOCZESNEJ APLIKACJI



**DO POBRANIA ZA
DARMO NA**

